

# O d a t o s y



Nr 29 (333)  
19. VII. 1964 R.  
10 stron  
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK

ROK VII

**W numerze: Andy w ogniu • Nie szargać świętości • Śladami legendy • Książki o miłości • Nauczycielka Hemingway'a • Dobra córka • Recenzje • Polonica • Felietony**

JERZY  
URBANKIEWICZ

## Fermenty

Trudno dziś oglądać niechcicki dwór, bo go traktory zasłaniają, kominy, albo inne urządzenia o przemysłowym znaczeniu. A kilkadziesiąt lat temu wyglądało to zapewne inaczej. Owszem drożdźownia stała, ale z ganku, tarasu, lub baszty rozciągał się widok aż po Rozprzę a i od Rozprzy pięknie się prezentował niechcicki dwór niczym nie przesłonięty. Obok dworu jaskrawe plamy markiz, traktorem kłnie powóz w cztery konie, mija się z lśniącem koczem, tu cylinder zatacza koła aż poza drzwi ozdobione herbem, a tam - biała chusteczka i uśmiech. Szczyńska - damy dręczą na korkach, nieprzywyle do wyboistych ścieżek, wskazują modrały ukryte wśród zboża, a panowie, nie bacząc na sztywność gorsu, dają nura pomiędzy kłosey, by życzeniu dam uczynić zadość.

A dziś to wszystko „ordynarne” jakies, traktory zasłaniają jasne ściany dworu a skowronki wyniosły się ku Rozprzy, bo tam tego warkotu motorów mniej i mniej gryzającego dymu. Można sobie nad polami pośpiewać. Drożdźownia była i dawniej. Tu nie tylko drożdżami,

nawet jubileuszem pachnie! Bo Strzelecki, dawny właściciel Niechcic zbudował drożdźownię jeszcze przed powstaniem stycznowym, a była to - chyba pierwsza drożdźownia na ziemiach polskich. Pierwsza na świecie zbudowano w Wiedniu 10 lat wcześniej. Ledwie jednak ruszyła niechcicka, wybuchło powstanie, Strzelecki poszedł z rusznicą do lasu i nie wrócił. Gdzieś w Sybirze spędził resztę życia, a Niechcice stały się prawem kaduka własnością cara-bańszki. Dał je generałowi Paszke, prawdopodobnie za „usmirnienie polska wo matieża” a generał Paszke sprzedał Niechcice baronowi von Krügerowi. Ten miał głowę do interesu. Oprócz drożdży zaczął produkować spirytus, potem piwo. Okazało się, że i krochmal stanowi produkcję podobną, więc krochmal i jeszcze syrop na karmelki. Przyszła wojna, wygasły piecy, w magazynach odpoczywały konie ulanów niemieckich a szrapnele niepokoiły boczanie stada, co sobie na niechcickich kominach obrały miejsce na gniazda. Między wojnami zdeorganizowany kombinat przeszedł w ręce Pfefera i Kupczyka, ci dzwignęli część urządzeń, ale działając w ramach kartelu drożdźowni, zaniechali wszelkiej produkcji poza drożdżami. Druga wojna włożyła swój niszczący wkład. Ale ledwie przebrzmiały ostatnie strzały, mieszkańcy pozbierali porzucane po kłach części, ostrzeżeni, polutowali i znów ruszyła drożdźownia a nawet krochmalnia. Ale kulalo to, kulalo, aż w 49 roku zamartło. I po raz trzeci zagnieździł się bocian na kominach, odpadał tynk z pałacu i pociekło przez dachy.

W roku 1950 objęło Niechcice Ministerstwo Rolnictwa. Ten rok stał się początkiem nowej epoki. Budynki, obro-

ne na magazyny, znów stały się fabryką, wrócili rozproszeni robotnicy, ruszyło to wszystko, co miało pozory ruiny i ciasta znów poczęły rosnąć na niechcickich drożdżach. Począł się gwałtownie zmieniać krajobraz tej miejscowości, coraz częściej przesłaniany ciężkimi traktorów.

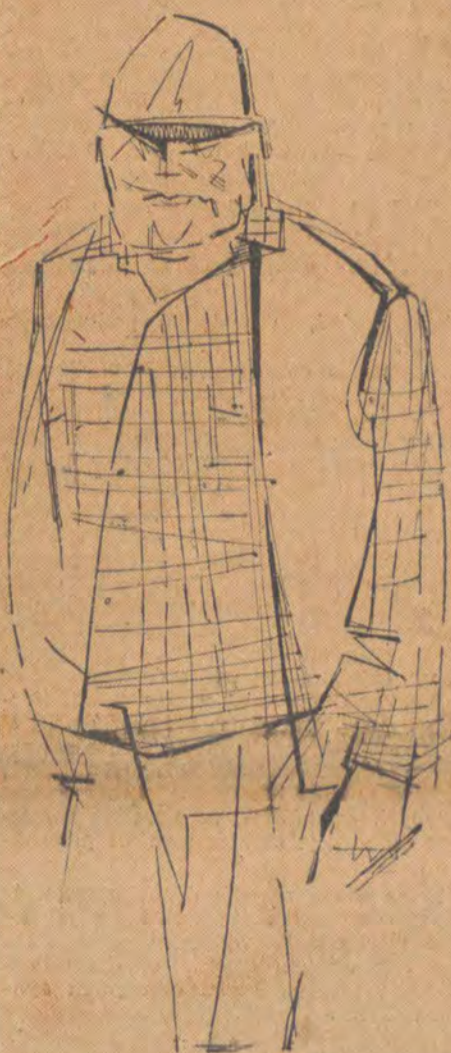
Paszke, Krüger oraz spółka Pfefer i Kupczyk korzystali z rozległych ziem majątku, produkowali na nich surowiec i Niechcice rosły, otoczone pierścieniem wsi, które tyle miały z Niechcicem pożytku, że dwa razy do roku kupowały drożdże na świąteczne placiki. Przy dawnym majątku została stuhektarowa resztówka, niezdolna wyprodukować tyle surowca, ile trzeba dla rozwijającego się kombinatu. To też Niechcice stały się źródłem bogactwa okolicznych chłopów i PGR. Dwa tysiące gospodarstw pracują na Niechcice. A Niechcice pracują na... dwa tysiące gospodarstw no i oczywiście - na ileś tam PGR.

Główny surowiec to ziemniaki. Kombinaty troszczy się, by okoliczne ziemie produkowały maksimum i optimum. W kraju panuje zwyczaj, że plantatorzy otrzymują nowe rasowe sadzonki co 4 lata, dostawcy niechcicy - co 2 lata. A wozy i przyczepy nie chodzą puste w żadną stronę. W jedną - ziemniaczany plon, w drugą - wycierka ziemniaczana i wywar gorzelnicy dla bydła. Na tej stuhektarowej resztówce 50 krów obżera się do nieprzyzwoitości, a co roku 2.000 tuczników opuszcza gościnne Niechcice.

Po stuletnich perypetiach Niechcice produkują: drożdże, mączkę ziemniaczaną, syrop dla przemysłu cukrowniczego.

Dalszy ciąg na str. 3

## Hemingway: Moje paryskie wspomnienia<sup>(II)</sup>



Dziwna podróż  
ze SCOTTEM  
FITZGERALDEM

NIBY SARKOFAG

Wróciwszy do pokoju zastałem Scotta leżącego nieruchomo, niby własna rzeźba nagrobna na sarkofagu; oczy miał zamknięte i oddychał z godnością.

Usłyszawszy, że wszedłem do pokoju powiedział: — Czy dostałeś termometr?

Podszedłem i położyłem mu rękę na czole. Nie było tak zimne jak grobowiec. Było jednak chłodne i suche.

— Nie — powiedziałem.

— Myślałem, że przyniosłeś.

— Posłałem po niego.

— To nie to samo.

— Nie, nie to samo. Nieprawdaż?

Na Scotta nie można było się gniewać, jak nie można się gniewać na kogoś, kto zwario-

Dalszy ciąg na str. 6



WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Fot. E. KUDAJ

## Wokół egzaminów na wyższe uczelnie

### SZKOŁY

### NA CENZUROWANYM

Egzaminy wstępne na wyższe uczelnie stanowią zarazem „egzamin” szkolnictwa średniego. W ciągu kilku dni uzewnętrzniały się jaskrawo wieloletnie wysiłki pedagogów, tworzyły się przesłanki dla sformułowania sądu o aktualnym stanie naszego szkolnictwa.

W oparciu o przebieg egzaminów wstępnych na Uniwersytecie Łódzkim będę szukał odpowiedzi na pytanie: czy szkoła średnia uczyniła wszystko, co leżało w jej możliwościach, by należycie przygotować młodzież do studiów wyższych?

Egzaminy wstępne na uniwersytet dają przekrój wszystkich przedmiotów maturalnych, zarówno humanistycznych jak i matematyczno-przyrodniczych. Równocześnie na Uniwersytecie Łódzkim napływa głównie młodzież z miasta Łodzi i województwa, w mniejszym stopniu (około 15-17%) z terenów bardziej odległych, z białostockiego, zielonogórskiego, bydgoskiego, kieleckiego a nawet i województwa warszawskiego. Ważniaki będą więc dotyczyły głównie pracy i stanu szkolnictwa łódzkiego.

Wobec dużego napływu kandydatów (średnio 25 na jedno miejsce) wymagania stawiane absolwentom szkół średnich przez komisje egzaminacyjne były zawyżone w porównaniu

do lat ubiegłych, kiedy to „łok” był znacznie mniejszy. Wymagania egzaminatorów mieściły się jednakże w ramach programów szkolnych, a przedstawiciele kuratorów mieli obowiązek korygowania pytań, gdyby one wykraczały poza materiał nauczania.

O ile mi wiadomo interwencje nie miały miejsca, przeciw nie delegacji podkreślali, że pytania i zadania są stosunkowo łatwe i dają możliwość wypowiedzenia się nawet tym absolwentom, którzy posiadają dość duże luki w materiale szkolnym.

Dalszy ciąg  
na str. 3



**C**hruszczow — szermierz współistnienia, Chruszczow — ideolog, czy Chruszczow — handlowiec? W jakiej roli wystąpi premier Związku Radzieckiego w czasie skandynawskiej podróży? — zastanawiali się komentatorzy zachodni przed zapowiedzianą wizytą radzieckiego męża stanu w Danii, Szwecji i Norwegii.

Oczywiście takie rozgraniczenie pozbawione jest sensu, jeśli więc je przypominamy, to tylko dlatego, że podróży premiera ZSRR towarzyszyło duże zainteresowanie Zachodu — potwierdzone potem udziałem ponad 600 dziennikarzy na konferencjach prasowych! — a nawet pewien niepokój.

Ten niepokój — co tu ukrywać — dziś może być bardziej uzasadniony niż wówczas. Bardziej, ponieważ przyjęcie premiera Chruszczowa nie miało nie ze skandynawskiego chłodu. Powitano go uśmiechniętymi twarzami — jako wysłannika pokojowego współistnienia.

Ta zasada podkreślona też została we wszystkich trzech komunikatach o rozmowach.

„...Jest ona — mówił po powrocie do Moskwy, w swym przemówieniu radio-telewizyjnym premier Chruszczow —

# Odgłosy W świecie



Duński minister spraw zagranicznych — Haekkomp tak na przykład charakteryzuje N. S. Chruszczowa:

„Jest mężem stanu najwyższej rangi. Jest piekielnie inteligentny... Chruszczow w sposób zdumiewający wie o wszystkim i zawsze... Chruszczow mówi wprost do serca”.

Jeszcze jeden moment ze skandynawskiej podróży wymaga szczególnego podkreślenia — premier Chruszczow dał wyraźnie do zrozumienia, że mimo okoliczności, które przed 15 laty pchnęły Danię i Norwegię, do uczestnictwa w pakcie atlantyckim, nie powinni to stanowić przeszkody w pomyślnym rozwoju wzajemnych stosunków. Jest to jakby

## NA PÓŁNOCY NIE WIEJE CHŁODEM...

uznana za realną podstawę budowy stosunków między państwami o odmiennych ustrojach społecznych...

Uznawano wszędzie w czasie naszych wizyt, że pokojowa polityka ZSRR wywiera korzystny wpływ na sprawę pokoju jako całość”.

Z trzech krajów, które odwiedził N. S. Chruszczow — dwa: Dania i Norwegia są członkami Paktu Północno-Atlantyckiego. Mają one jednak własne zdanie na temat broni nuklearnej — nie godzą się na rozlokowanie jej na własnych terytoriach, ani nie zamierzają przystąpić do wielostronnych sił jądrowych NATO.

Chyba właśnie dlatego w ciągu tej prawie trzytygodniowej wizyty raz po raz powracano do idei tworzenia stref bezatomowych, idei — przypomnijmy — zapoczątkowanej w r. 1957 propozycją Polski, a powtarzanej dziś w różnych wariantach pod różnymi szerokościami geograficznymi.

Również, a może nawet przede wszystkim, idea ta rozumiana jest w Skandynawii „Plan Udena” — stowarzyszenia się krajów nieatomowych, czy „plan Kekkonea” — neutralizacji nuklearnej północy Europy — są tego wymownym przykładem.

Wizyta premiera Chruszczowa w Skandynawii nie zakończyła się jakimś konkretnym wynikiem. Zacieśniły się jednak stosunki dobrego sąsiedztwa, nastąpiło bliższe poznanie stanowisk. Prorządowy norweski dziennik „Arbeiderbladet” tak ocenia końcowy komunikat po rozmowach radziecko-norweskich:

„Wszystko, co jest tam zawarte wskazuje na dalsze odprężenie i pokojowe współistnienie”.

Dziennik podkreśla, że w komunikatach nie ma jednak tego, co najistotniejsze, „olbrzymiego znaczenia osobistych kontaktów, które ułatwiły wzajemne zrozumienie słów i czynów”.

Osoba premiera Chruszczowa dobrze znana jest na świecie. Mimo to bezpośrednie kontakty podkreśliły osobisty urok radzieckiego przywódcy. Wniosek ten można wyprowadzić z oficjalnych wypowiedzi i publikacji.

lekcja pogłówna realizmu politycznego krajów socjalistycznych.

Nie przeto dziwnego, że — w ślad za sztokholmskim korespondentem TANJUGA — stwierdza się, że w rezultacie wizyt w żadnym z trzech skandynawskich krajów nie kwestionuje się realności spojrzenia i szczerości dążeń Chruszczowa do realizacji zasady współistnienia.

Wystąpił więc radziecki mąż stanu, jeśli posłużyć się podaną w wstępie terminologią zachodnią, jako szermierz współistnienia. A ono wymaga również dalszej normalizacji stosunków handlowych oraz otwierać może drogę wspólnemu działaniu w wielu dziedzinach.

Premier Chruszczow zaproponował Norwegii współpracę na Spitsbergenie. W końcowym komunikacie z rozmów nie ma wprawdzie wzmianki na ten temat, jednak norweski minister spraw zagranicznych oświadczył, że wszelkie radzieckie propozycje zostaną uważnie przeanalizowane.

Prasa skandynawska donosi zresztą, że sfery gospodarcze krajów, które odwiedził Chruszczow, wykazują wzrastające zainteresowanie różnymi formami ekonomicznych kontaktów z olbrzymim rynkiem ZSRR.

\* \* \*

Lipiec, sierpień — były kiedyś okresem kanikuly także w polityce. Od pewnego czasu, gdy pozostałych 10 miesięcy w roku nie starcza na rozważanie i poszukiwanie dróg przystąpienia wielu niełatwych problemów międzynarodowych — wakacje polityków są coraz krótsze.

I tegoroczne ferie letnie rozpoczęły się pod znakiem wielu interesujących wydarzeń. W Europie — na czoło wysunęła się właśnie skandynawska wizyta premiera Chruszczowa, w Ameryce — zjazd nominacyjny partii republikańskiej, który stanowi ciekawy element kampanii przed listopadowymi wyborami prezydenckimi. Poświęćmy temu kolejny komentarz „Odgłosów”, wyjaśniając, dlaczego ultrakonserwatywa Goldwater zrobił taką zawrotną karierę.

W. ŚLAWSKI



Ta decyzja w dużej mierze należała do Eisenhowera.

Zaczął się sezon turystyczny. A to oznacza wzmoczone łożo na dewizy: w jednym tylko numerze „The Observer” znaleźliśmy powyższe ogłoszenia, zachęcające do odwiedzania krajów Europy wschodniej. Przy okazji, nie bez żalu, musimy stwierdzić, że najrzadziej reprezentowane na szpaltach pism zagranicznych, są reklamy polskich biur podróży.

**Cheers!**  
Discover **HUNGARY** before everyone does!  
on your trip to EUROPE don't miss HUNGARY this year

**Best holiday BULGARIA**  
A SUPERB flair HOLIDAY IN ROMANTIC Hungary GOING CZECH? GO TO CZECH REPUBLIC

**WONDERFUL HOLIDAYS HUNGARY**  
in the U.S.S.R. 15 days, inclusive Air Holiday 57 days

**POLAND**  
GIVES A NEW WELCOME

## GORZKA PRAWDA

Herman Langbein, były więzień Oświęcimia i sekretarz „Comite International des Camp” jest jednym z koźnych świadków oskarżenia w procesie frankfurckim. W czasie swego pobytu we Frankfurcie wygłosił on w tym mieście jak i w jego okolicy szereg prelekcji na temat obozu w Oświęcimiu, adresowanych szczególnie do młodzieży. Obecnie Langbein podzielił się na łamach prasy zachodniemieckiej swymi doświadczeniami z tej akcji. Oto garść jego uwag.

Na odczyty o obozie w Oświęcimiu — w zależności od nastrojów politycznych panujących w danej miejscowości przychodziło od 25 do 500 słuchaczy. Przeważała młodzież.

W dyskusjach wychodziło na jaw, że młodzież zachodniemiecka niczego prawie nie wie o hitlerowskim systemie ludobójstwa.

Starsi słuchacze zachowywali się biernie i milcząco: młodzież natomiast była zazwyczaj wstrząśnięta relacją Langbeina i stawiała mu wiele charakterystycznych pytań. Najczęściej z nich to:

Czy w Oświęcimiu działał ruch oporu i jak to było możliwe?

Czy SS-owcy byli wyłącznie patologicznymi sadystami — zbrodniami, których zdawali się wrócić nich ludzie normalni i wykształceni?

Dlaczego tysiące ludzi szło na śmierć bez oporu i jak liczna była SS-owska ochrona obozu?

Często zdarzało się, że słuchacze zarzucali Langbeinowi wręcz kłamstwo: wybuchala wtedy zażarta dyskusja, w której nie raz na jaw wychodziły i neo hitlerowskie przekonania dyskutantów.

Gdy Langbein apelował o ogólnoludzką solidarność, widząc w niej pewną rolę w odwróceniu zbrodni minionego wojny nie powtarzała się, audytorium bądź nie reagowało, bądź wypowiadało się na ten temat z zaskakującym pesymizmem: Langbeina uderzył szczególnie fatalistyczny pesymizm niemieckiej młodzieży.

Prasa zachodniemiecka podaje wypowiedź H. Langbeina w złagodzonej formie i osłabia ją uwagami o doświadczeniach na rzecz obozów koncentracyjnych. Ale i tak między wierszami wyczytać można gorzką prawdę o społeczeństwie, które niczego nie nauczyło się na przerażających doświadczeniach niedalekiej przeszłości.

# POLONICA

„PANNA MALICZEWSKA”  
PO FRANCUSKU

Mieszkająca od lat w Paryżu tłumaczka z języka francuskiego, Jadwiga Kukulczanka, przeżyła ostatnio z polskiego na francuski „Pannę Maliczewską” Gabrieli Zapolskiej. Korekty przekładu dokonał sam Jean Anouilh, autor wielu znanych dramatów m. in. granego w łódzkiej Teatrze Powszechnym „Skowronka”. „Panna Maliczewską” ma w przyszłym sezonie wystawić jeden z teatrów paryskich,

POLAK — BOHATEREM  
POWIEŚCI NORWESKIEJ

Pisarz norweski, Fin Ainaes, obecnie trzydziestodwuletni, w przeszłości nauczyciel, robotnik portowy, zopher i dziennikarz, napisał powieść pt. „Kolos”, która stała się prawdziwą rewelacją. Nas powieść ta interesuje i z tego względu, że jednym z jej bohaterów jest Polak z pochodzenia, były więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych, adwokat Stefan Borowicz. Pod jego wpływem główny bohater

POWIEŚĆ O POLSCE

W NRD (nakładem Verlag Neues Leben w Berlinie) ukazała się, już w drugim wydaniu, powieść Elisabeth Szubert pt. „Halka und Nora”. Akcja jej dzieje się w okupowanej Warszawie, a bohaterkami są dwie siostry (właśnie Halka i Nora) oraz polska grupa oporu. Mimo pewnych naiwności, zwykle nieuniknionych, gdy cudzoziemiec pisze o naszym kraju, powieść Elisabeth Szubert zawiera partie bardzo interesujące a całość prze-

utworu, który w jakiejś formie zabił człowieka, przeżywa głębokie przeobrażenia duchowe. Powieść ta ukazała się w Norwegii, Szwecji i Danii, a w niedalekiej przyszłości ukaże się również w Holandii oraz w Polsce.

świetlona jest zrozumieniem i sympatią dla sprawy polskiej.

NIEMCY O KSIĄŻKACH  
KOTTA I WOROSZYLSKIEGO

W kwartalniku „Die Bücher — Kommentare” (z 15 czerwca br.), który ukazuje się w Berlinie zachodnim i w całości poświęcony jest omawianiu nowości wydawniczych z dziedziny beletrystyki i nauki o literaturze, znajdują się dwie recenzje o wydanych w NRD książkach Jana Kotta o Szekspirze i Wiktora Woroszylskiego o Sałtykowie Szczedrinie. Kurt Seiffert ocenia książkę Kotta bardzo wysoko, pisząc m. innymi, że „rezultaty jej będą długo wazyć w badaniach nad twórczością Szekspira”. Na-

tomiał nie znalazła uznania pod piórem Waltera Abendrotha powieść biograficzna Woroszylskiego, którą recenzent uznał za mało ciekawą dla przeciętnie inteligentnego czytelnika, a to z powodu zbyt wyszukanej formy dla tego rodzaju pracy.

STANISŁAW J. LEC  
W JUGOSŁAWII

Wychodzący w Zagrzebiu, ciekawie redagowany tygodnik „Telegram” (z 26 czerwca br.) zamieszcza artykuł Jozo Puljizevića pt. „Afori-

zni oruże — u rękoma humanista” (Broń aforyzmu — w rękach humanisty), poświęconą twórczości Stanisława Jerzego Leca z okazji jego pobytu w Jugosławii. Lec odwiedził Belgrad, Lublana i Zagrzeb. Artykuł, opatrzone zdjęciami pisarza oraz okraszony aforyzmami („Myśli nieuczane”), zawiera również omówienie i ocenę twórczości Leca, tak chętnie tłumaczonego w ostatnich latach na wiele języków europejskich. Przy tej sposobności przypomnijmy mało znaną „myśl nieuczana”, która brzmi: „W stołnicy i psy szczekają stołeczniej”.

# POLONICA



# Fermenty

Dalszy ciąg ze str. 1

krochmal i spirytus. Oaza przemysłu wśród tęskniących za przemysłem miasteczek i wsi.

Kombinat miał potężnego wroga w postaci sezonu. Kiedy zawracały pierwsze ciągniki wiozące ziemniaki, zaczęła się kampania. Dymły kotły, poki surowca starczyło, a potem do nowych zbiorów — cisza. Ale mają tam głowy do interesu. To, co zaczynało działać jesienią, po kopaniu, przedłużano o kilka miesięcy, wykorzystując urządzenia do produkcji przetworów owocowych i warzywnych. Milion litrów wina roczniel! Każde drzewko — to czysty zysk. A „kłęska urodzaju” to termin w tych stronach nieznan. Niechcice łatwo polykają 10 tysięcy ton owoców.

Owoce i warzywa wypełniły tylko kilka letnich miesięcy, przednowek straszyl po dawnemu. Więc zaczęto kierować ludzi do naprawy i konserwacji maszyn. Nie święci śruby kręcą. Nauczono robotników, tych od drożdży i krochmalu obchodzenia się z młotkiem, pilnikiem i kluczem. Pewnie, że do inżynierów im daleko, ale jak człowiek kilka lat na tej samej maszynie „robi” to i „nasobaczy się”, ale maszynę pozna jak własne pięć palców. I odtąd — ludzie trzy razy do roku zmieniają zawód. Od ślusarki przechodzą do warzyw i owoców, potem do „drożdży i krochmalu i znów do ślusarki.

Można więc myśleć o dalszym rozszerzeniu produkcji. Ostatecznie sto lat temu było się najbardziej nowoczesną drożdżownią i coś z tej tradycji zostało. Powstał dział, produkujący pożywkę dla antybiotyków. Nie tylko schaboszczaki czerpią tu podstawi swoich gastronomicznych zalet. Również penicylina i inni wrogowie wirusów czerpią stąd sily do walki i życia. I oto znów niechcice za sada, wykorzystania wszystkie go bez reszty, pożywkę robi się z kukurydzy. Po jej wyekstrahowaniu pozostaje — pasza. Nieco zubożona, ale zdolna przywrócić humor nie jednej niedokarmionej śwince. Dysponując innym odpadkami łatwo ubytek uzupełnić, a nawet wzbogacić paszę ponad poprzednio posiadaną kaloryczność. Stąd następny dział kombinatu: suszarnia ziele lonek i mieszalnica pasz. Doda się do wyekstrahowanej kukurydzy tego i owego i 5000 ton paszy treściwej wychodzi corocznie na użytek czworonożnych smakoszy. A to pożywiecie dla 10 tysięcy

świnek, dużo więcej, niż chrząka w niechcickich chlewach. Wszystkie PGR województwa łódzkiego żywią się tutejszymi paszami i jeszcze wystarcza dla śląskich trzód. Oczywiście tak odległy transport nie jest najlepszym wyjściem z sytuacji. Toteż myśli się o zorganizowaniu hodowli warchlaków i rozwinieciu hodowli trzody na miejscu.

Teraz nikogo nie zdziwi, że jeśli w 1959 roku produkcję Niechcice określało się sumą 12 milionów zł, to w roku 1963 — 90 milionów zł. A wokół, na polach i łąkach leży dalsze 10 milionów w postaci trzeciego pokosu traw, który w polu, ani na łące nie wyschnie, a w niechcickich suszarniach i mieszalnicach znów się zamieni w paszę i potem — w mięso.

Niechcice stanowią dynamiczny kombinat, który rozwija się bez wzoru. Pojawiają się potrzeby — więc się je realizuje. Zbieżność realizacji potrzeb kraju z interesem miejscowej ludności nie jest przypadkiem, ale na siepstwem rozsądnego planowania. Błuma projektów wiedzą o tej miejscowości i jeśli trzeba wypróbować jakiś prototyp maszyny przetwarzającej produkty rolne, tu go się instaluje ku ogromnej radości niechcickich ludzi. Bowiern prototyp z reguły zostaje na miejscu, demontaż się nie opłaca, a jeszcze żadnej śrubki — nie mówiąc o maszynach — nie zainstalowano w Niechcicach na próżno. Za zostawiony prototyp nikt oczywiście nie każe sobie płacić.

Niechcice są samowystarczalne, jeśli idzie o zatrudnienie. Jeśli w sąsiedniej Rozprze, czy Kamiensku wzdychają do bełchatowskiego węgla, Niechcice raczej się go boją, bo ci, co poznali tajniki ślusarskiej roboty na pewno polaszczą się na większe zarobki w górnictwie i odedją. Już dziś kobiety uczą się obsługi urządzeń i w razie czego — nie wrócą bojąc się na niechcickie komy.

Dyrektor Józef Korzeniowski nie może się nachwalić niechcickich śrubek i kartofelków. Mało mu, że pracuje w tak unikalnej na terenie Polski instytucji, wplątał w ten eksport niechcicki Marię Dąbrowską. „To stąd — powiada — nazwisko Niechciców w „Nocach i dnach”, tu pisarka — grzebała w dokumentach, w rozprzańskim kosciółce”.

Muszę rozczarować zakochanego w Niechcicach dyrektora i innych entuzjastów. Maria Dąbrowska powiedziała mi tak: „Istotnie, kiedyś, bodaj w 1926 roku zobaczyłam, jak w Warszawie do sklepu przywieźli kosz paczek z drożdżami, na etykietce był napis: „Niechcice”. Stąd wzięłam pomysł nazwiska Niechciców i bodaj że w jakimś wydawstwie to podałam. Nie więcej o majątku Niechcice nie wiem, nawet gdzie się znajduje. Zadnych jego właścicieli nigdy nie znalazłam ani o ich istnieniu nie słyszałam”.

Chyba twórcy dzisiejszych Niechcice przeboleli ten fakt. Zwłaszcza, że wieś sama pracuje na swą sławę.

JERZY URBANKIEWICZ



## SZKOŁY NA CENZUROWANYM

Dalszy ciąg ze str. 1

Znaczna liczba ocen niedostatecznych wystawionych podczas egzaminów nie podważała ocen szkoły. W większości bowiem wypadków stopień nie dostateczny z egzaminu miał na maturze odpowiednik w ocenie tylko dostatecznej. Rozbieżność nie była więc rażąca. Zdarzały się jednakże wypadki, że ocena maturalna i o pierca szkoły o kandydacie całkowicie kłóciły się z wynikami egzaminów. Rysowała się przy tym jakaś dziwna reguła. Owe dysproporcje bowiem prawie zawsze odnosiły się do szkół położonych na tzw. „głębockiej prowincji”.

Przy egzaminach na różne kierunki studiów wyodrębniały się dwie grupy kandydatów: lepiej przygotowani, bardziej pewni swych odpowiedzi, nie dający się speszyć pytaniami dodatkowymi — to w zasadzie absolwenci szkół łódzkich i szkół położonych w większych

miastach powiatowych (Piotrków, Kalisz, Sieradz); nieśmiały, skłonni do peszenia się, operujący stosunkowo skromnym zasobem wiadomości — to przeważnie absolwenci liceów położonych w małych ośrodkach prowincjonalnych.

Przyczyn tego „podziału naturalnego” trzeba chyba szukać w słabszej kadry pedagogicznej, która osiedla się na prowincji, słabym oddziaływaniu wojewódzkich ośrodków metodycznych, brakach w wyposażeniu szkół (bibliotek i pracowni) i swoistym dla prowincji zaważeniu zainteresowań. Zjawisko, które odnotować powinno stanowić sygnał alarmowy dla kuratorów.

Jeśli chodzi o przygotowanie z przedmiotów humanistycznych, to chlubny wyjątek stanowi liceum w Poddebicach, którego absolwenci „blynneli” w bieżącym roku. Natomiast jedno z liceów w Tomaszowie Maz. (a więc nie taka już głęboka prowincja) naraża swych absolwentów na wielkie rozczarowania wysławiając im na świadectwach maturalnych oceny na wyrost.

Gdyby wynotować z prac pisemnych i wypowiedzi ustnych kandydatów różnego rodzaju „kalambzurdki” w rodzaju: „Pod Słoczkim chłop na czole z Kościuszka zdobyli 200 armat na wojskach Katarzyny”, to powstałaby spora książka. Lecz smutno-pocieszne zjawisko tkwi korzeniami nie tylko w nieuctwie młodzieży, ale i w przeladunku programów materiałem pamięciowym.

Kandydat przy egzaminie musi operować w zasadzie wiadomościami, jakie zdobył w trzech ostatnich klasach licealnych. Przekracza to często pojemność jego pamięci. Stąd nazwy, fakty, daty tworzą płatniny, nad którą traci on panowanie, a w efekcie powstają owe „kalambzurdki”.

Programy szkolne zawierają niestety wiele materiału zbędnego; utrudnia to pracę nauczycielowi, bo nie ma czasu na przekrojowe przedstawianie problemów, brakuje godzin na lekcje powtórzeniowe. Musi on przeciwieństwie do wypracowania, gdyż zarządzenia odnoszące do realizacji materiału są

bezwzględne. Efekty pamięciowego ogarniania „wiedzy szkolnej” widzimy właśnie podczas egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie.

Wkuwanie podręczników stroną po stronie odbija się na poziomie czytelności wśród młodzieży. Przeciętny uczeń nie ma czasu, by wychylić się poza obowiązkową lekturę. Co najwyżej dla przyjemności dziewczęta czytają Rodziwiczównę i poszukują „dzieł” Mniszkówny, a chłopcy studiuja kryminały i niezwykle popularną wśród młodzieży serię „tygrysa” (tajemnice II wojny światowej).

Sprawa rewizji programów szkolnych, wyeliminowania z nich zbędnego balastu i zwrócenie uwagi ucznia na procesy rozwoju w każdej z nauk są zagadnieniami nader ważnymi. Obecnie jest opracowywany program dla 12-letniego cyklu nauczania. Nadarza się więc doskonała okazja do wypracowania wniosków z dotychczasowej praktyki szkolnej.

Matura zdobyta w liceach ogólnokształcących na równi z maturą techników daje prawa ubiegania się o przyjęcie na wyższą uczelnię. Lecz jeśli absolwent technikum wybiera studia wyższe „w swoim zawodzie” (np. absolwent technikum włókienniczego na wydziale włókienniczym politechniki), to dysproporcje w wiadomościach nie występują zbyt jaskrawo, choć powinien i on nieco uzupełnić materiał teoretyczny z zakresu matematyki, fizyki i chemii.

Nieporozumienie powstaje wówczas, gdy absolwent technikum ubiega się o przyjęcie na kierunku humanistyczne. Próba niemal z reguły kończy się niepowodzeniem. Wydaje się, że nauczyciele techników powinni wyjaśnić swoim podopiecznym, a zarazem kandydatom na studia humanistyczne, że ich wiadomości z literatury, historii i języka obcego są niewystarczające przy ubieganiu się o przyjęcie na uniwersytet, a nawet oceny bardzo dobre z tych przedmiotów nie oznaczają dostatecznego przygotowania do egzaminu konkursowego.

Uzyskanie matury nie jest równoznaczne z uzyskaniem karty wstępu na wyższą uczelnię. W warunkach, gdy nauka jest nie tylko bezpłatna, ale i premiowana (stypendia), zachęca to nawet mało zdolnych absolwentów szkół średnich, by zostać studentami. Lecz czeka ich egzamin konkursowy — słabsi odpadają, mnożą się rozczarowania.

Trzeba odnotować, że opinie o uzdolnieniach kandydatów nadsyłane przez szkoły łódzkie, były na ogół trafne, odważne, i przeważnie pokrywały się z wynikami egzaminów. Gorzej przedstawiała się sprawa opinii przesyłanych przez szkoły prowincjonalne. Wydaje się, że konieczne jest, by maturzysta znalazł opinie swojej szkoły zanim zdecyduje się na przystąpienie do egzaminu konkursowego. Może wówczas młodzież bardziej trzeźwo będzie oceniać własne możliwości, a tym samym uchroni siebie od zbędnego zawodu życiowego.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

### ŁÓDZKIE XX LECIE

## KOMUNIKACJA

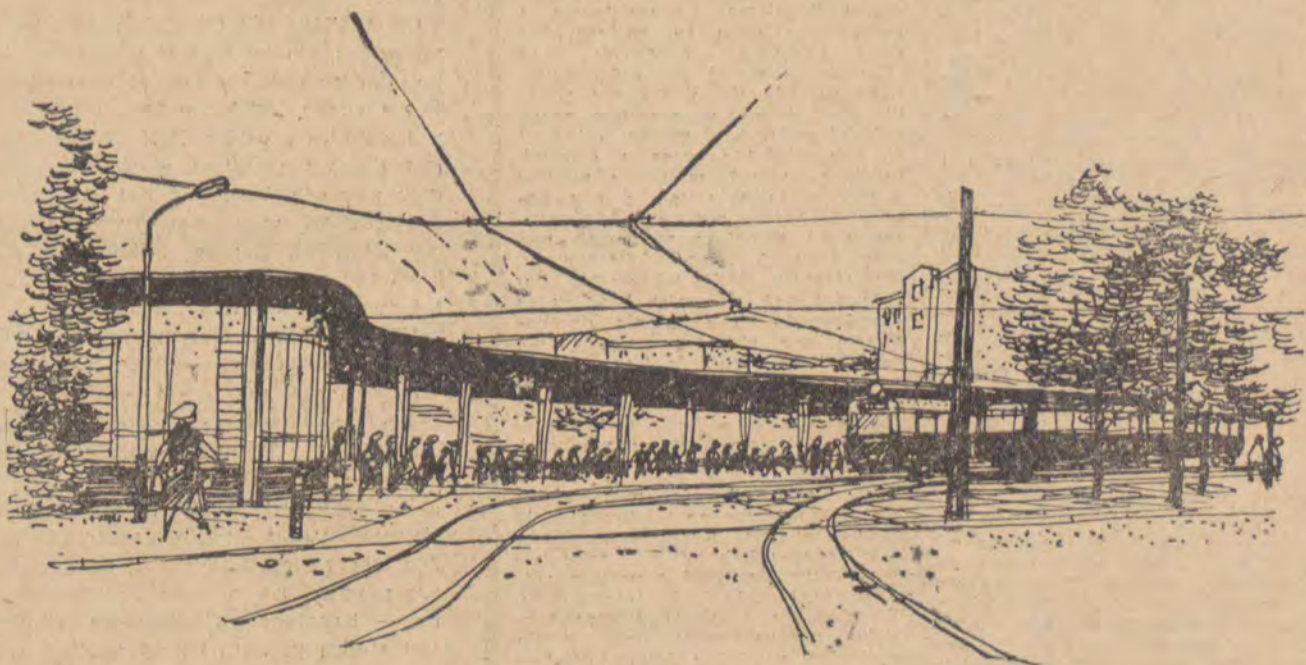
**MYŚL:** Stworzenie takiej sieci komunikacyjnej aby zaspokajała ona potrzeby nie tylko stale rosnącej Łodzi, ale i ułatwiała komunikację z podlódzkimi ośrodkami miejskimi.

**ANALOGIA:** W stosunku do okresu przedwojennego długość sieci tramwajowej w Łodzi wzrosła o 33,5 km, czyli o 26 proc. W latach 1945—60 wybudowano ponad 20 nowych pętlic tramwajowych i autobusowych, oraz dworzec linii podmiejskich przy ul. Północnej. W roku 1933 w Łodzi kursowały 433 wozy, przewożąc 87 milionów pasażerów rocznie. W roku 1963 Łódź miała już 807 wozów tramwajowych, a liczba przewiezionych pasażerów sięga 496 milionów rocznie.

**NA ILUSTRACJI:** Dworzec linii podmiejskich przy ul. Północnej. Stąd odchodzą tramwaje do Zgierza, Ozorkowa, Konstanczyna i Lutomińska. Obiekt oddano do użytku w 1954 roku.

**PROJEKTANT:** Zespół z Biura Projektów Budownictwa Komunalnego w Łodzi. Koszt inwestycji: 2.700.000 zł.

Rys. inż. arch. Ludwik MACKIEWICZ





# Feliks Babol DE FICHT

**N**o właśnie co się z tej „Egzotycznej” zrobiło... Na początku jeszcze jakoś to wyglądało, plastycy, urzędnicy, literaci udawali, że niczego nie dostrzegają, ale przecież z biegiem czasu odczuli na sobie, że stopniowo lokal przechodzi w inne ręce. Po południu zwłaszcza to ciśnienie z zewnątrz było najbrutalniejsze. Przez kawiarnię zaczęła się przelewać fala młodych ludzi. Mówię panu, znam młodzież, sama byłem młoda, ale ta młodzież... Niektórzy młodzi owszem: zamawiali wino, wuzetki, kawę, wypili, porozmawiali i poszli. A poza tym — ta reszta była najgorsza — na jeden rzut oka widać że to ani się nie uczy, ani nie pracuje. I nie wiadomo było z czego to żyje. Milicja ciągle ujawniała fakty: chuligani, początkujący przestępcy i sutenerzy. Dla części z nich kawiarnia stała się miejscem zbiorów, melina, czy ja wiem, czym. A wśród tego szarego, groźnego zbiorowiska, które prześladało się przez kawiarnię od czasu do czasu zabłysnął prowodyr, herszt, wódz. Wielu z nich dziś siedzi, niektórzy wycofali się ze swoich gangów, gdy już za dużo było wyroków. Jeden z takich hersztów nawet trafił dobrze — słyzałam — ożenił się, dostał auto za żoną i jakoś krecł. Inny — dostał pięć lat — dowodził złodziejaszkami, w pewnym okresie wyspecjalizował się w kradzieżach kościelnych. Zanim ich posadzono zbierali się w kawiarni, przynosili lechtarce, dwanaw, handlowali — sama to widziałam. Byli i gwałtciela — wszyscy siedzą — milicja przychodziła tu w ich sprawie i fotografiami, żeby ich rozpoznać.

Najczęściej jednak wszystkim obracało się wokół wódki. „Chodźmy pod palec” — zrywali się i wychodzili do „Słonia” obok. Po wypiciu przychodzili znowu i rozrabiali. Codziennie rano w krzakach na tarasie znajdowałam po 15-20 butelek po winie czy wódce, którą przynosili z sobą, aby ominąć przepisy i popić w kawiarni. Szumowali napoje różne, jeden trzymał raz wino w nogawce, a pił w ubikacji, czy ukradkiem na tarasie. Wiele miałam tam spraw o picie w kawiarni... Wszyscy prawie mieli swoje dziewczyny. Były z znowu w bandziorami i razem z nimi planowały wyprawy. Zaplać się jakiś obcy facet gdzieś zapil, potem przyszedł na kawę do „Egzotycznej”, to on od razu do niego. Dziewczyna na wabia, oni się przysiadali, ululali gościa, a potem na spacer, do pasażu. Wieczorem ciemno w pasażu było, więc nawet mało kto słyszał krzyk. Obili, okradli i uciekli.

Inne dziewczyny igna do przystawki, przychodziły, prowokują nawet chłopaków, więc je zgarniają po jakimś czasie widać, co się z tych dziewczyn zrobiło. Nie raz ostrzegaliśmy młode dziewczyny, żeby nie zadawały się z bambrychami, żeby nie marnowały sobie życia w takim towarzystwie, nie pomagało. Czasem tylko udawało się ostrzec matkę, przychodziła i zabierała córkę od stolika.

Wie pan co? Ciągle mi żal czasów, gdy kawiarnia była jeszcze lokalem, który ludzie odwiedzali z przyjemnością, gdy fala chuligaństwa nie wyparła jeszcze tych z przeydiem, co przychodzili na kawę, ani plastyków; gdy przychodzili poważni ludzie, którzy wiedzą, po co jest kawiarnia. Radny, malarz z zawodu, gdy dostał nagrodę księcia Monaco przyszedł do nas, poczeszował winem kierowniczkę i bufetową, bo pracownicy kawiarni żyli się z porządnymi gośćmi w tamtym dobrym okresie.

Pyta pan o milicję? Pomagała mi stała, a najwięcej dzielnicowy ze śródmieścia. Razem staraliśmy się zapobiegać złu. Zawiadamialiśmy rodziców, bo często nie wiedzą o swych dzieciach. Bywało, że dopiero gdy „powiastka” przychodziła z sądu czy kolegium do domu, rodzice otwierali oczy. Dopiero wtedy, gdy synalek miał już proces o sutenerstwo, a córeczka



o kradzież. Pamiętam takiego Andrzeja z Tuwima. Porozmawiałam kiedyś z nim, kiedy czekał na kompanów, dowiedziałam się, że chodzi do 11 klasy, za parę miesięcy matura, a on tymczasem marnuje czas na wino i zle towarzyswo. Zadzwońlam do domu, naradziłam się, prosiłam o pomoc, zrobiliśmy co tylko było można... Czy pan wie, że udało się w porę Andrzeja z tego wywikłać? Zrobił maturę, poszedł, jak słysze, na studia i będzie chyba jeszcze człowiekiem.

Albo Marek, syn jednego z łódzkich dyrektorów. Czulałam, że w „Egzotycznej” szuka wyzycia się, a gdy zrobił raz awanturę kelnerce, zawiadomiłam rodziców. I tego się odciągnęło. Niech pan powie, ojciec dyrektor, poważny człowiek, a nie wiedział jaki wstyd mu groził...

Myslałam kiedyś, żeby pianino wstawić, żeby jakiś program artystyczny, może to odciągnęłoby młodych ludzi od picia i rozróbek. Ale gdzie tam! Lokal za mały na program artystyczny i pianino, zresztą plan od stolika trzeba wyrobić, gdy stolik nie przyniesie 80 zł dziennie, to cały personel chodzi bez premii.

Okazuje się, że w Łodzi niewiele jest kawiarni przypominających swym wnętrzem, charakterem i przekrojem gości to, co zwykliśmy nazywać kawiarnią. W „Grandce”, nawet po zakończeniu remontu, nie się chyba nie zmieni: po staremu w niedziele przed południem będzie można zobaczyć pary małżeńskie wraz z dziećmi, ludzi, o których w całym mieście wiadomo, że żyją jak pies z kotem, ale którzy raz na tydzień muszą dbać o opinię w oczach pań mecenasowych i pań doktorowych. Po staremu kilka dziewcząt będzie polowało na gości hotelowych schodzących na śniadanie do kawiarni, po staremu pewna ilość kobiet będzie szukała towarzystwa, jak dawniej wśród wtajemniczonych krajać beda wieści, kto ma zagraniczne lekarstwa, a kto może ułatwić transakcje z markami, czy dolarami.

W „Agawie” nie wykształcili się jeszcze tradycje. Przez cały tydzień w dzień pustawo, a wieczorami pary młodych ludzi przy winie i muzyce, różne pary z różnych środowisk i dzielnic miasta. W niedziele przekrój jeszcze bardziej przypadkowy: profesorowie wyższych uczelni i kuncy, studenci i znudzone życiem rozwódki, literaci i wyliniałe lwy salonowe.

W „Akademickiej”, wiadomo, lokal z tradycjami. Gdy jest re-

mont, czy parodniowy remanent, w całym mieście od samego rana czuje się krzywdę wyrządzoną budwalcom tej kawiarni. Emeryci, ludzie sterani życiem i wiekiem, którzy żyć nie mogą bez swej kawiarni, szukają przystuliska w „Egzotycznej”, „Tureckiej” czy „Agawie”. Ale to już nie to! W „Akademickiej” stoly zajęte są przez szachy i domino, wieczorem muzyka gra na fortepianie, a i goście dopasowali się już do tego lokalu.

W „Łódziance” również czas pracuje na rzecz tradycji. Część „numerarzy” i pośredników przeniosła się do „Teiniki” na Traugutta, część czeka na otwarcie „Grandki”. W związku z napływem nowych ludzi, których przyciągnął poziom remontowy, poczuli się nieswojo wydrwigrosze, nieroby i zbyt pospolici podrywacze.

Oto nieliczne w Łodzi kawiarnie z tradycjami, bądź z jej zaczątkami zaledwie. Postuchajmy jednak czym była „Papuga” na Górnaku. Warto zaś o niej wspomnieć, bo po zamknięciu już się chyba nie odrodzi w innym punkcie miasta i pod inną nazwą. Była kierowniczkę zastaliśmy w „Egzotycznej”, bo tutaj właśnie pełni teraz swe obowiązki.

„Gdyby mnie zaangażowano jeszcze do podobnego lokalu, wołałabym stracić pracę, niż tak się męczyć... Tutaj nareszcie... odetchnęłam”.

Kierowniczką z „Papugi” oddycha w „Egzotycznej”, która w ciągu 14 lat zabrała tyle zdrowia i młodości innej kierowniczkę. Zająłabym jednak z ciekawości do tamtego starego domku na Górnaku.

3.

„Wie pan, było tak — gdy zamknęłam drzwi wejściowe, bo chciałam zatrzymać w lokalu oprycha do czasu przybycia milicji, oprych uciekał oknem. Zallowalam, że dom nie jest pletrowy, może by wtedy nie przyskakił przed przybyciem MO? Pracowałam w „Papudze” tylko rok, ale i tak wyszło mi to wszystko bokiem.

Pyta pan o typy gości? Do południa możliwy element. To ciekawe, że ci ludzie najpewniej czuli się przy świetle sztucznym, albo w mroku, światło dzienne ich krepowało. Wiec dopiero po południu zaczynało się wszystko.

Muszę panu powiedzieć, że „Papudze” najbardziej zaszkodziło sąsiedztwo sklepów z wódką i knajpy przy placu Reymonta i na placu Niepodległości. Stamtąd przychodzili pijani albo w „Papudze” rozrabiali, albo też przynosili wino czy wódkę, aby wypić na miejscu. Można tu było zobaczyć całe feralny z Chojen, Zarzewa i Rudy, wszyscy się znali, wszyscy się czuli jak w gnieździe. Wielu było wśród nich wyrokowców, z czasem zaś cały personel wiedział już o każdym, ile sędział, za co, kiedy wyszedł.

Każdego też wieczoru czekało się tylko, w którym kacie kto zacznie kogo bić, czekało się na wybuch dzikociel. Chodziłam po sali snrwarzając dowody młodych dziewcząt, takie niewypierzone jeszcze przychodzili, aż żal było patrzeć, wiec gdy jeszcze nie miały 18 lat, wypraszało się do domu. Jako matkę przykro mi było patrzeć na młode 15-letnie dziewczyny, które szukały przygód w tym towarzystwie, ostrzegałam niektóre. Naiwne były? Nie wszystkie, niektóre same szukały kontaktów. Jedna młodzieńka dziewczynka, prawie jeszcze dziecko, tłumaczyła się, gdy wysyłałam ją do domu, że jest już dorosła, że ma męża. Gdy powiedziałam, że pójdziemy sprawdzić, rozplakała się.

Często przychodziły matki tych głupich i naiwnych.

— Nie przyszła na noc, pan mowi? Przecież ona tu codziennie wysiaduje z tymi tykami. Przerazenie było na twarzach tych matek, zwłaszcza, gdy przychodziły wieczorem, gdy „Papuga” była soba naprawdę.

Raz przed Wielkanocą, w czasie akcji milicja ujawniła wśród gości „Papugi” ostre finki.

4.

W książce o przestępczości nieletnich Anna Pawelczyńska na tie wielu spraw sądowych rozszyfruje mechanizm działania młodocianych przestępców. Pisze m. in., że duża rolę w organizowaniu, doskonaleniu przestępczej działalności odegrały warszawskie ruiny, pite sutenerzy, piwnice, do których nikt nie zagląda, o których MO w zasadzie dowiaduje się dopiero wtedy, gdy jest już na tropie młodocianych przestępców. Taką „meta” dla łódzkich chuliganów, dla przestępczej działalności, dla ludzi, którzy znaleźli się już za moralną burta życia, są bardzo często kawiarnie. Zwłaszcza te na peryferiach, chociaż, jak widać od „Egzotycznej” wcale niedaleko do „Papugi”.

Słuchając opowiadań kobiet, które pracują w tych kawiarniach, dochodzi się do wniosku, że kierowniczkę lokal staly się pierwszym taranem porządku i moralnego ładu, który uderza w ten kotłujący się organizm, jakim jest chuligaństwo, sprzymierzone z sutenerstwem, że oprócz czuwania nad wykonaniem planu („stolik musi dać 80 zł dziennie”), musza czuwać i nad tym, aby młoda dziewczyna nie dostała się w lany pośrednika od spraw „miłości”, aby zwykły, normalny człowiek, któremu raz przydarzyło się trochę „zawieruszyć” nie był ograbiony, ani też zmasakrowany w najbliższej bramie, czy w parku.

Sa więc te kierowniczkę jakby na dodatkowym półetacie, bezpłatnym co prawda, ale półetacie stworzonym mimo woli przez niektórych rodziców, przez niektóre szkoły, przez niektóre instytucje. Mamy na myśli tych rodziców, którzy o rozróbkach syna czy córki dowiadują się dopiero z sądu, te szkoły, których nie dziwi zbyt duża nieobecność ucznia czy uczennicy, te instytucje, które wreszcie powinny onanować sytuację w dziedzinie moralnego i pozytywnego oddziaływania na elementy rozkładowe wśród młodzieży. A ŁZG-Kawiarnie, przypuszczamy, zbyt wiele myśla o deficycie niektórych kawiarni łódzkich. O tym deficycie pisało nieraz prasa łódzka, że to wyniki nierozróżnienia administracyjnych, malej atrakcyjności kawiarni, czy jeszcze czegoś. A przecież, jak widać, choćby z powyższego, nie ten deficyt w istotach kach jest najważniejszy w łódzkich kawiarniach.

Ktoś powiedział, że kawiarnie to ostatecznie margines. Ze mamy poważniejsze sprawy na głowie, niż pół czarnej. Gdy przejdziecie się po „Marysieńce”, „Egzotycznej”, „Łowickiej”, „Misiu” czy „Danusi”, oczywiście wieczorem, sami stwierdzicie, że to wcale nie margines naszego życia. A zresztą może racie ma człowiek, który wypowiedział te właśnie złota myśli: Powiedz mi jakie tu sa kawiarnie, a powiem ci, jakie to miasto...

FELIKS BABOL

## RAWA MAZOWIECKA

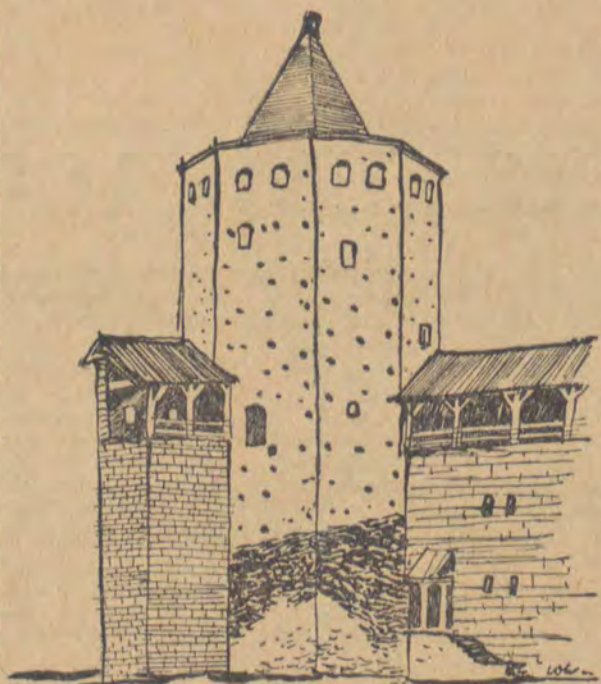
**DOJAZD:** Autobusem PKS z dworca Fabrycznego. Godz. 5.10, 6.30, 7.30. Bilet kosztuje 21 zł 60 gr.

**CO OBEJRZEC:** Ośrodek muzealny w wieży zamkowej, zbudowanej w początkach XIV wieku. Bardzo ciekawy kościół pojezuicki. Kościół jest z wieku XVII, ale fasada z wieku XVIII, a dzwonnica z wieku XIX. Rawa Mazowiecka jest dobrym punktem wyjściowym do wycieczek pieszych. Ponieważ ciekawe krajobrazowo miejscowości w dolinach rzek: Białki, Lupii czy Rawki leżą przy doskonałych dla ruchu kołowego szlakach — można te okolice polecić też turystom zmotoryzowanym.

**GDZIE ZJESC:** Bar mleczny — ulica Krakowska, restauracja — ulica Rynkowa.

**PAMIĄTKI:** Wycinanki, pocztówki — w kioskach „Ruchu”; oraz ośrodek muzealny.

**HISTORIA:** Pierwsze wzmianki o Rawie pochodzą z XII wieku. Prawa miejskie uzyskała przed rokiem 1400. W Rawie kształcił się w słynnej szkole Pijarów, autor „Pamiętników” Jan Chryzostom Pasek. W pobliskiej Ruduczycy przez wiele lat mieszkala narzeczona Chopina — Konstancja Gładkowska. — Dziś Rawa jest stolicą powiatu i liczy około 9 tys. mieszkańców.





**W**TOLIMIE, (DEPARTAMENT W KOLUMBIJSKICH ANDACH) WOJNA CHŁEPSKA MIAŁA NAJDRAMATYCZNIEJSZY PRZEBIEG — SPOWODOWAŁ JĄ SZCZEGÓLNE OSTRY KONFLIKT MIĘDZY WŁASCIELAM KAWOWYCH LATYFUNDIÓW A CHŁOPAMI. BYLI TO — JAK PISAL „TIME”, „KOLONISCI UZURPATORZY, KTÓRZY PRZED 34 LATY ZAJĘLI DZIAŁKI ZIEMI NA TERENACH MAJĄTKÓW NIEOBECNYCH BOGACZY. UZURPATORÓW TOLEROWANO DO OSTATNIEGO 10-LECIA, KIEDY TO SZYBKI ROZWOJ EKONOMICZNY KOLUMBII DOSTARCZYŁ OBSZARNIKOM KAPITAŁÓW POZWALAJĄCYCH UPRAWIAĆ NALEŻĄCE DO NICH ZIEMIE. NIEKTÓRZY UZURPATORZY ZOSTALI NA WNIOSEK SĄDÓW SIŁĄ PRZEPEDZENI Z ZAJMOWANYCH PÓL. INNI CHWYLIŁI ZA BRON. ŻEBY BRONIC POLETEK, I NA TERYTORIUM 2 TYSIĘCY KILOMETRÓW KWADRATOWYCH WYBUCHOŁ ANTYRZĄDOWE POWSTANIE”.

do, Nad spokojem wolnych terytoriów czuwają brygady samobrony, do których należy każdy chłop zdolny do noszenia broni. Tutaj też tworzą się podstawy nowego społeczeństwa, które kładzie kres niesprawiedliwości społecznej. Po dwóch latach walk oba oddziały partyzanckie „Charro Negro” spotkały się w celu podsumowania wyników „guerrilla rodada” i jej doświadczeń. Oto obraz Marquetalii, która kieruje dynamiczny przywódca Manuel Marulanda Velez, w relacji A. Pinedy zamieszczonej przez kubański tygodnik „Bohemia”:

„W formie kolektywnej rozpoczęto uprawę roli, budowę mieszkań, sklepów, punktów zdrowia, szkół. Scentralizowana gospodarka zapewnia egzystencję każdemu — mężczyznom, kobietom i dzieciom. Specjalne jadalnie przeznaczone wyłącznie dla bojowników, dostarczają codziennego pożywienia przygotowywanego przez komitety kobiece. Obok tych zajęć kobiety uczestniczyły aktywnie w walce, a poza tym wykonywały także czynności jak pranie, przyszywanie guzików, prasowanie itd. Wszystkimi szczegółami prac kierowały komitety kobiece. Komitety młodzieżowe poświęcają wiele

kańców sąsiednich osad. Wielu z aresztowanych przypadło i do dziś nie wiadomo, gdzie się znajdują. Twierdzi się, że zostali rozstrzelani albo zakłuci przez żołnierzy, podobnie jak chłop, który wpadł w ręce wojska. Rząd przemocą zmusił całą ludność do ewakuacji. „Obywatele sennej Villarriki — pisze „Time” — sklepikarze, handlarzy z rynku, posiadacze drobnych plantacji kawy w okolicy, ponurzy mężczyźni, lamentujące kobiety, zapłakane dzieci, niedźwiedzi, którzy jak bydło i załadowani na ciężarówkę wojskową. Zostawili chałupy, meble, a nawet tak cenne przedmioty jak maszyny do szycia, ruszyli w drogę”. Thumy ich, głodnych koczujących pod gołym niebem, załudniały potem odległe miasteczka.

Przez 6 miesięcy trwała nalloj lotnictwa na pozycje chłopów. Pojawia się broń straszliwa — napałm. Przy wybuchu bomby napałmowej zageszczona na galarecie benzyna rozpryskuje się podpalając chałupy, roślinność, przewleka do ciała ludzkiego i pali żywcem. Obrońcy żyją w okopach — od dzieci do starców — cały czas pod kulami lotnictwa i niebezpieczeństwem ognia pożarów i wśród ciał zabitych towarzyszy. Dyktator rzuca do

to-Guayabero, przystępują natychmiast do kolonizacji nowej „ziemi obiecanej”. Nie wypuszczając z ręki karabinu zaczynają wszystko od nowa...

Rozległe tereny Tolimy legły w gruzach i wyludniły się. W operacjach wojskowych spalono 43 tysiące zabudowań, a 34.730 gospodarstw wiejskich zdewastowano lub opuszczono.

Tymczasem w Tolimie podnoszą bunt także chłopci deklarujący się jako liberałowie, bo to nie chroni ich przed terrorem armii. Niski stopień świadomości pcha ich często do akcji o charakterze rozbójniczym. Powstaje zbrojnie Jesus Maria Oviedo, znany jako „Mariachi”, który w przyszłości obrócił broń przeciw rewolucjonistom. Pokojowo zawsze usposobiony nauczyciel wiejski Silvestre Bermudez będąc świadkiem tragedii swojego ludu chwyla w desperacji za broń i norwya za soba chłopstwo. Wieleokrotnie ranny, o chorobliwie chudej twarzy pociętej bliznami, zasłynął jako kapitan „Mediavida” („Pół-życia”), nim dosięgną go kule policjanta. Na czele innego oddziału partyzanckiego stale bardzo młody i bardzo niedoświadczony Teofilo Rojas — sławny „Chisnas” — skłonny jednak bardziej do zbójnictwa niż do świadomego działania rewolucyjnego.

Wojna trwa, kosztuje milion pesos dziennie. Zbrojny ruch chłopski osiąga niespotykane rozmiary — na terenie całej Kolumbii ciężkie boje toczy 100 tysięcy partyzantów! Rewolucjonści, mimo klęski profesjonalnej w Villarrice, nadal utrzymują w swoich rękach enklawy górskie w centrum kraju — w departamentach Tolima, Huila, Quindío i Cauca i w Dolinie Cauca. Gen. Rojas Pinilla nie spełnił nadziei pokładanych w nim przez obszarników i wielką burżuazję, jego oficerowie rabowali latyfundiom bytło na równinach i sobie przewłaszczali zaletę przemocą gospodarstwa wiejskie. Groźba powstania ludowego osiągnęła punkt szczytowy. Po raz drugi w tej wojnie oligarchia kolumbijska, przywódcy konserwatystów i liberałów, podjęli decyzję rozładowania nastrojów rewolucyjnych. Oszukując masę, udalo im się uchwycić kierownictwo ruchu ludowego, który 10 maja 1957 roku położył kres krwawej tyranii kasty wojskowej.

Wojska rządowe przerwały ofensywę, a wiele oddziałów partyzanckich rozeszło się do domów. Inne dozorantacja pchnęła do bandytyzmu. Tylko oddziały chłopskie partii komunistycznej w sile około 10 tysięcy ludzi powróciły do pracy na polach nie składając broni. Dyktator odszedł, oligarchie kreolskie pozostały i znów były u władzy. Pozostał bilans 9 lat wojny: 500 tysięcy zamordowanych chłopów, 800 tysięcy zbitych przed prześladowaniami do wielkich miast, 175 tysięcy innych, których niedza i terror zmusiły do emigracji do Wenezueli, Panamy i Ekwadoru. 120 tysięcy gospodarstw wiejskich spalonych, zdewastowanych i opuszczonych.

Widmo przemocy znów rzuca ponury cień na Kolumbię.

de oreja”, odcinanie uszu. Jeden z dowódców wojskowych wydaje żołnierzom wyruszającym do walki z partyzantami słynny rozkaz: „Nie przychodźcie z relacjami, przynosić mi uszy”. Każda para uszu — to zabity partyzant, ale o partyzanta trudno, a rezultaty muszą być, więc żołnierze wracają z uszami pomordowanych bezbronnnych chłopów. Inny dowódca stosuje tzw. bomby ludzkie, zrzucanie żywcem

ZBIGNIEW KOWALEWSKI

# ANDY W OGNIU



więźniów z samolotów na wioski opanowane przez „komunizm”. Biskup Guzman pisze w swojej wstrząsającej książce o tej wojnie: „Zbrodnia osiąga swój szczyt w eksterminacji kobiety jako początku życia i zagładzie dziecka jako najwspanialszego tworu miłości”. Inny ksiądz, Leon Herrero, w książce pod charakterystycznym tytułem „To, czego niebo nie przebacza”, opisuje m. in. los wioski Urama. Na wieś o zabójstwie pewnego sierżanta, policja otoczyła wieś i nakazała się zebrać całą ludność na placu. W trzech grupach wyprowadzono ją w różnych kierunkach. Ludzie z pierwszej grupy zostali obrabowani, a następnie wycięci w pięć bagnetami i maczetami. Zmasakrowano drugą grupę chłopów. Trzecia, transportująca zwłoki sierżanta, została kolejno wymordowana na przestrzeni 20 km marszu, a ciała zabitych wrzucano do akweduktu...

Tysiące podobnych okrucieństw zna Kolumbia. Lecz każdy nowy mord pogłębia nienawiść i rodzi coraz bardziej desperacki opór mas chłopskich. W Rio Blanco w Tolimie policja zamordowała dwóch starców i odcinając zagroziła, że wróci rozprawić się z ich synami. Wówczas czterech osierocieni chłopcy zorganizowali się. Gdy policja wróciła w sile 16 ludzi — chłopcy zaatakowali ich na drodze zabijając trzech napastników i zdobywając trochę broni. Rozwścieczona policja wpadła do wsi strzelając na prawo i lewo. Ludność, pozostawiając cały dobytek, uciekła do dżungli broniona przez paru ochotników uzbrojonych w stare sztylety. Chłonom z Rio Blanco nie pozostawało nic innego, jak walczyć z bronią w reku o to, co utracili i dla pomśczenia krzywd. Tak powstał szesze jeden oddział partyzancki...

Tereny południowej Tolimy wyzwolone przez komunistyczną „guerrilla rodada” umacniają się w doskonale zorganizowana twierdza oporu chłopskiego. Siega ona po Villarrike na wschódzie, Gaitanie na południu i po Rio Chioúito i Marquetalii w Centralnej Kordylerze Andów. Tutaj po raz pierwszy w historii Kolumbii chłopcy są wolni, pracują na własnej ziemi, która otrzymała z reformy rolnej przeprowadzonej przez partyzantów, a władze sprawują rady lu-

uważy szkoleniu politycznemu i studiowaniu doświadczeń walk zbrojnych oraz pełnią służbę wartowniczą. Nawet dzieci są zorganizowane. Nie są one podobne do dzieci z miast, są synami prześladowanych chłopów, dziećmi wojny, które towarzyszą rodzicom w długich marszach wygnaniowych. Znają i narażają życie jak każdy partyzant. Są to „Sucres” ruchu zbrojnego (marszałek Sucre, bohater walk wyzwoleniczych z kolonializmem hiszpańskim, był właśnie takim dzieckiem wojny — (Z. K.); takich jak oni spotkać można tylko w Marquetalii. Te dzieci — wiele z nich straciło rodziców podczas walk — brane są pod opiekę przez dorosłych partyzantów. „Dajcie mi jednego Sucre” — zwraca się partyzant do dowódcy i zabiera do siebie młodego partyzanta, który towarzyszy mu nieodłącznie w codziennych zajęciach, czyści broń, przenosi korespondencje, zbiera drzewo i czuwa nad gospodarstwem. Taki małeć przy boku partyzanta, traktującego go jak własnego syna, uczy się czytać, pisać i obchodzić z karabinem...

Kulminacyjnym momentem w tej wojnie stało się natarcie wojsk rządowych na froncie Villarrica w początkach 1955 r. Gen. Rojas Pinilla postanowił ostatecznie zniszczyć wyzwolone terytoria w Andach. Wschodnia Tolima oficjalnie ogłoszono terenem działań wojennych. Chłopi porzucali prace na polach i umacniają się w górach, w najdalej na wschód wysuniętej bazie oporu Villarrika. Bronią własnej ziemi — gotowi są raczej umrzeć niż się cofnąć. Ich zaciętego oporu wojsko nie jest w stanie przełamać, choć operacjami kieruje misja wojskowa USA. „Działki chłopów dosięgły kule — mówi nacowny świadek — wiele chałup robotników rolnych spalono, niezliczone razy znecono się nad kobietami, żądając od nich zeznań o miejscu pobytu komunistów, w stosunku do starców i dzieci dopuszczano się okrutnych kpin, a bombardowania wioszek z rozkazu władz spowodowały niezliczone ofiary i zniszczenia. Masę chłopską bez względu na przynależność partyjną zjednoczyły się z bronią w reku dla ratowania życia... Władze przeprowadzały jednocześnie masowe aresztowania wśród miesz-

walki batalion „Kolumbia” który powrócił niedawno z wojny koreańskiej. Uśmiechnięci żołnierze tego właśnie batalionu psują do zdziec z głowami odciętymi zabitym partyzantom.

W końcu partyzanci Villarriki, nie mając już nadziei na wytrwanie, zaczynają ewakuację. Wśród zaciętych walk chłopcy wycofują się w masowym exodusie przez szczyty Andów ku dżungli Cauca. Tu, w lesistym rejonie Pa-

## LISTY do REDAKCJI

Przeczytałam recenzję Jacka Bryga z ostatniej Okręgowej Wystawy w Ośrodku Propagandy Sztuki. Jestem zaszczyczona jedyną wzmianką mego nazwiska w całej recenzji, ale ponieważ niezrozumiałą jest dla mnie intencja autora na temat mojej pracy, uprzejmie proszę o wyjaśnienie.

Ze swojej strony wyjaśniam, że: do mojego obrazu świadomie uproszczonego w kolorze, świadomie zakomponowanego w formie dynamicznej, została zakomponowana świadomie tama ciężka i złocona — zatem ciężar i koloryt rami zamyka i uzupełnia napięcie obrazu. A to nie są żarty.

Z poważaniem  
Lena Kowalewicz,  
Łódź, ul. Piotrkowska 133,  
tel. 349-16.

☆

Od redakcji:

Droga Pani! Leno: oczywiście, że sztuka, o nie żarty! Cała nasza redakcja jest tego zdania. A enigmatyczny cytat z wzmianki Bryga o Wystawie Okręgowej oznacza:

- że obraz Pani zwrócił na siebie jego uwagę;
- że kontrast między staromodną ramą, a nowoczesną kompozycją abstrakcyjną zrozumiał Bryg jako zamierzoną przez Panią konfrontację wzajemnie się wzbo gacających stylów;
- że wreszcie nie spodobało mu się rozdzielenie na wystawie sztuki przedstawiającej i abstrakcyjnej.

☆

W czasie tegorocznych wakacyjnych wędrowek trafiłem do Włocławka. Donoszę stąd, że tutejszy nowy pomnik Juliana Marchlewskiego wytrzymuje potównanie z naszym, łódzkim, a może nawet...

Zresztą niechby „Ogłosy” opublikowały zdjęcia obu pomników: ciekawe, co orzekłby tzw. Vox populi.

Z Ch.

(adres znany redakcji)

Od redakcji:

W jednym z najbliższych numerów postaramy się zaprezentować oba pomniki.



# Hemingway: Moje paryskie wspomnienia



Dalszy ciąg ze str. 1

wał, ale zaczynałem się denerwować na siebie, że zaplątałem się w tą całą głupią historię. Scott miał cień motywu i wiedziałem o tym bardzo dobrze. W owych dniach większość pijaków umierała na zapalenie płuc, chorobę, która teraz jest prawie zawsze uleczalna. Jednak trudno byłoby się zgodzić na zaliczenie Scotta do pijaków. Upijał się tak małą ilością alkoholu!

Wtedy, w Europie, myśleliśmy o winie jako o czymś tak zdrowym i normalnym jak jedzenie, a również jako o wielkim dawcy szczęśliwości i dobrego samopoczucia i radości. Picie wina nie było snobizmem ani znakiem wyrafinowania ani kultem; było czymś tak naturalnym jak jedzenie, a dla mnie czymś równie niezbędnym. Nie pomyślałbym o zjedzeniu posiłku bez wina, jabłeczniaka lub piwa.

Przyszedł służący z dwiema szklankami wyciśniętego soku z cytryn i lodem, z whisky i butelką wody Perrier i powiedział, że apteka jest zamknięta i nie mógł kupić termometru. Pożyczył kilka aspiryn. Zapytałem, czy nie mógłby jednak poszukać jakiegoś termometru. Scott otworzył oczy i rzucił na służącego, nieszczyśliwie, irlandzkie spojrzenie.

Zmieszałem lemoniadę z whisky i dałem mu z dwiema aspirynami. Połknął je bez protestu z godnym podziwu spokojem i małymi łyżkami pił swój drink. Oczy miał teraz otwarte i wpatrzone daleko. Czytałem *Orime* w gazecie i byłem szczęśliwy, zbyt szczęśliwy, jak się zdaje.

— Jesteś zimny drań, nieprawdaż? — zapytał Scott i patrząc nań zrozumiałem, że nawet jeśli nie pomyliłem się w diagnozie, to moja recepta była z pewnością kiepska i że whisky pracuje przeciwko nam.

— Co masz na myśli, Scott?

— Możesz tam sobie siedzieć i czytać tę brudną francuską szmatę i nie dla ciebie nie znaczy to, że ja umieram.

— Chcesz, żebym zawiolał lekarza?

— Nie, nie chcę żadnego brudnego, francuskiego, prowincjonalnego lekarza.

— A czego chcesz?

— Chcę, by zmierzono mi temperaturę. Chcę, by wyszło moje ubranie. Chcę, byśmy wsiadli do paryskiego ekspresu i pojechali do amerykańskiego szpitala w Neuilly.

— Nasze ubrania będą suche dopiero rano, a stąd nie ma żadnego ekspresu — powiedziałem. — Czemu nie odpoczniesz sobie i nie zjesz kolacji w łóżku?

— Chcę, by zmierzono mi temperaturę.

## CZTERY MINUTY

Trwało to już dłuższy czas, aż wreszcie posługacz przyniósł termometr.

— Czy to jedyny termometr, jaki mógł pan dostać? — zapytałem. Scott, gdy tamten wszedł, zamknął oczy. Zdawało się, że jest stąd tak daleko jak Camille. Nigdy nie widziałem człowieka, któremu krew upływałaby z twarzy równie szybko i zastanawiałem się, dokąd ta krew uszła.

— To jedyny termometr w hotelu — powiedział posługacz i podał mi termometr. Był to termometr kąpielowy, z drewnianą osłonką i metalowym ciężarkiem do zanurzania go w wannie. Wypięłem łyk whisky i otwarłem okno, by spojrzeć na deszcz. Kiedy odwróciłem się, Scott mnie obserwował.

Zawodowym ruchem strzępnąłem termometr i powiedziałem:

— Masz szczęście, że nie jest to termometr do odbytnicy.

— A ten, gdzie się wkłada?

— Pod pachę — powiedziałem i włożyłem termometr pod swoje ramię.

— Tylko nie podnieś temperatury — powiedział Scott. Strzępnąłem ponownie

termometr jednym ostrym ruchem w dół i rozpiąwszy Scottowi bluzę od piżamy włożyłem mu termometr pod pachę, a jednocześnie dotknąłem chłodnego czoła i znów sprawdziłem puls. Wpatrywał się prosto przed siebie. Puls. 72. Zostawiłem termometr na cztery minuty.

— Myślałem, że trzyma się go tylko minutę — powiedział Scott.

— To jest wielki termometr — wyjaśniłem. — Mnoży się przez kwadrat wielkości termometru. Ten ma skalę Celsjusza.

Wyjąłem w końcu termometr i odczytałem temperaturę przy lampce.

— Ile jest?

— Trzydzieści siedem i sześć dziesiątych.

— Jaka jest normalna?

— To jest normalna.

— Jesteś tego pewien?

— Pewien.

— Spróbuj sam. Muszę być pewny.

Rozpiąłem piżamę, strzępnąłem termometr i włożyłem pod pachę. Trzymałem go, licząc czas. Po chwili spojrziałem na skalę.

— Ile jest?

— Dokładnie tyle samo.

— Jak się czujesz?

— Wspaniale — powiedziałem. Próbowaliśmy sobie przypomnieć, czy 37,6 jest naprawdę temperaturą normalną. Nie



miało to żadnego znaczenia, bo termometr, niewzruszony, stał na 30 stopniach.

Scott był nieco podejrzliwy, więc zapytałem, czy chce, bym przeprowadził drugą próbę.

— Nie — powiedział. — Możemy być szczęśliwi, że wyjaśniło się tak szybko. Zawsze miałem wielką siłę regeneracyjną.

— Jesteś zdrow — powiedziałem. — Myślę, że tym niemniej możesz zostać w łóżku i zjeść lekką kolację. Wyruszmy wcześniej rano.

Scott nie chciał leżeć w łóżku. Chciał wstać, ubrać się, zejść na dół i zadzwonić do Zeldy, by wiedziała, że wszystko jest w porządku.

— Dlaczego miałaby sądzić, że nie jesteś w porządku?

— To pierwsza noc od czasu, gdy pobraliśmy się, którą mam przepaść daleko od niej i muszę z nią porozmawiać. Możesz sobie wyobrazić, co to dla nas znaczy, czy nie?

Mogłem, lecz nie mogłem sobie wyobrazić w jaki sposób poprzedniej nocy on i Zelda mogli spać razem: nie było się jednak o co kłócić. Teraz Scott bardzo szybko wypił swoją whisky i poprosił, bym zamówił kolację. Znalazłem posługacza, oddałem mu termometr i zapytałem o nasze ubrania. Sądził, że gdzieś za godzinę będą suche.

— Niech pan weźmie chłopca do prania, szybciej wyschną. Nie muszą być suche jak pieprz.

Posługacz przyniósł dwa drinki, byśmy nie złapali grypy. Sącyłem swój, nakładając Scotta, by ciągnął powoli. Martwiłem się, że może się przeziębienie a teraz, po tym wszystkim, mogłem już sobie wyobrazić, że jeśli kiedykolwiek zdarzyłoby mu się coś tak groźnego, jak przeziębienie, musiałby prawdopodobnie leżeć w szpitalu. Drink sprawił, że przez chwilę czułem się znakomicie. Był szczęśliwy i robił tragiczne napomknięcia na temat tej, Zeldy i jego, pierwszej nocy separacji od dnia ślubu. W końcu nie mógł już dłu-

żej zwlekać z telefonem do niej i założywszy szlafrok, zszedł zadzwonić.

Przyniesiono nam ubrania, nim uzyskali połączenie. Ubraliśmy się i zeszliśmy na kolację. Scott nie czuł się pewnie i patrzył na ludzi kątem oka z pewną wojowniczością. Na początek mieliśmy bardzo dobre ślimaki z karafką Fleury, i gdy byliśmy w połowie, Scotta zawiolało do telefonu. Nie było go prawie godzinę i w końcu zjadłem jego ślimaki, wysuszając kawałkami chleba masło i czosnkowo-pietruszkowy sos, i wypięłem karafkę Fleury.

Gdy wrócił, powiedziałem, że postaram się dla niego o nową porcję ślimaków. Odparł, że nie chce. Chciał coś prostego. Nie chciał befsztyku, ani wątroby, ani wędzonki, ani omletu. Zamówiłby kurczaka. W południe zjedliśmy bardzo dobrego kurczaka na zimno, lecz to wciąż była krajina kurczako-rodna i zamówiliśmy poulard de Bresse i butelkę Montagny.

Scott jadł bardzo mało i wypił jedną szklankę wina. Zemknął przy stole, opuszczając głowę na dłoń. Było to naturalne i nie miało w sobie nic teatralnego. Wyglądało nawet, jakby uważał, aby nic nie rozlać ani nie rozbić.

## ZBYT PODNIECAJĄCE

Kelner wraz ze mną zaprowadził go do pokoju i położył na łóżku, a ja rozbrajałem go do bielizny, powiesiłem



ubranie, ściągnąłem nakrycie z łóżka i okryłem go nim.

Na dole skończyłem kolację i rozmyślałem na temat Scotta. Było oczywiste, że nie powinien być pić i że nie zaopiekowałem się nim należycie. Wszystko co pił podniecało go za bardzo i wreszcie zaturowało. Postanowiłem następnego dnia zredukować picie do minimum. Powiedziałbym mu, że teraz, wracając do Paryża, muszę wziąć się w garść, by móc pisać. To nie było prawdą. Wziąć się w garść znaczyło dla mnie nie pić nigdy po obiedzie, ani przed pisaniem, ani w trakcie pisania.

Następnego dnia jechaliśmy do Paryża w pięknej pogodzie, przez Côte-d'Or, powietrze było świeżo obmyte, i wzgórz, i pola, i winnice, wszystko nowe, a Scott radosny i szczęśliwy, i zdrowy, i opowiedział mi akcję wszystkich, co do jednej, książek Michaela Arlena, Michael Arlen, jak mówił, był człowiekiem, na którego należało uważać, i obaj, on i ja, wiele mogliśmy się od niego nauczyć.

Powiedziałem, że nie mogę czytać książek. Odparł, że nie muszę. On opowie mi wątki i opisz postacie. Wygłosił mi coś w rodzaju rozprawy doktorskiej na temat Michaela Arlena.

Zawiozłem go do domu i wziąłem tak-sówkę do tartaku, w którym mieszkaliśmy. To było wspaniale, znów zobaczyłem żonę. Byliśmy jak dzieci, które zostały rozłączone i znów są razem. Opowiedziałem jej o podróży.

— Ale czy nie bawiło cię to wcale, czy nie nauczyłeś się czegoś, Tatle? — zapytała.

— Mogłbym nauczyć się czegoś o Michaelu Arlen, gdybym był słuchacz. A nauczyłem się czegoś, czego jeszcze nie rozumiem.

— Czy Scott nie jest szczęśliwy?

— Chyba tak.

— Biedny człowiek.

— Nauczyłem się jednego.

— Czego?

— Nie wolno wybierać się w podróż z kimś, kogo się nie kocha.

Dzień lub dwa po podróży Scott przyniósł nam swą książkę. Miała krzywą obwolutę, i przypominam sobie, że byłem zakłopotany złym smakiem, gwałtownością i śliskim jej wyglądem. Wyglądała jak obwoluta zlej powieści fantastyczno-naukowej. Zdjąłem ją do czytania.

Kiedy skończyłem książkę, wiedziałem, że bez względu na to, co Scott robi i jak się zachowuje, muszę pamiętać, że jest to coś w rodzaju choroby i muszę być mu pomocny w każdy możliwy sposób, i muszę starać się być dla niego dobrym przyjacielem. Scott miał wielu bardzo dobrych przyjaciół, więcej niż ktokolwiek z ludzi, których znałem. Zaciągnąłem się doń jako jeden więcej, niezależnie od tego, czy mogłem być mu w czymkolwiek przydatny, czy nie. Jeśli mógł napisać tak doskonałą książkę jak „Wielki Gatsby”, byłem pewien, że może napisać jeszcze lepszą. Nie znałem jeszcze Zeldy, więc nie wiedziałem o tych strasznych okolicznościach, które były przeciwko niemu. Dość szybko mieliśmy się o nich dowiedzieć.

Z angielskiego tłumaczył L. U.

## WOJCIECH KAWIŃSKI

# STRACH

Pośpiech W oddechu W milczeniu  
W drzewie uciętym Biję zegar Na plaży  
Schnie porzucona muszla z reszta śpiewu  
Morza Zwycięza sen zimowe zwierzę Ogla  
W kamieniu ryje kształt pośpiesznie  
I jest bez gniazda ptak nadmorski  
Trafiłony z łuku Zrezygn skok drapieżny  
Na brązową plamę Koniec łowów Odart  
Z wilgoci deszcz nieruchomieje Zamla  
Oddechu ziemi przewala się huk wybuch  
W nim skarga i strach wymawiana  
Językiem powietrza nagim Bez ruchu  
Istnieje polana  
Szkielec kleski  
Po którym rdza słoneczna pnie się  
— Co zatrzymane jest  
Ciagle umiera —



(według zapomnianej legendy)  
Zakryte gardło To jest ta dolina  
Którą wędrowcy opuszczają w zimie  
I podczas pierwszej suszy Wszelka  
Roślinność: krzew ściety toporem  
Przez przodków Płaska trawa Kawał  
Popalonego kozenia Wszystko Jeszcze  
Tylko zawieszony wysoko krzyk sepa  
Który trafiłony upadł na wzgórze Znał  
Cienia Wilgotna skała ze śladami ust  
I paznokci Smak piasku i soli Zapach  
próżna

Krajobraz ciemnej Itaki  
Gdzie wraca tylko wiatr rozkołysany  
Przynosząc echo deszczowego lafa  
Maj 83

Szeleści skóra Przesuwa się krew  
Naprzeciw siebie stoją dwie przepaście  
I stone niebo okrywa się liśmi  
O kształtach ptasich  
Dotkniętych przez chłód.

W drzewie rodzi się zwierzę  
Patrzące wzrokiem podziemnego weża  
Splywa  
Na korę piórko cisy Gorka kropla  
Rozgarniająca niezabliźnione otwory  
Języczek drapający I z liściastych gardel  
Rozlega się stłumiona mowa urodzenia  
A biała muszla rozpoczyna ciemność





# Nie Szargać Świętości

Mamy lato. Lato można powiedzieć upalne. To znaczy zawsze znajdzie się na naszym ogromnym globie jakieś miejsce, gdzie akurat panuje upał. Możemy zatem bez większych zastrzeżeń zgodzić się na określenie „epoki”, którą właśnie przeżywamy mianem kanikuly, czyli z polską mową, sezonu ogórkowego. Ciekawe, że Polacy lubują się w metaforach botanicznych. Mamy lipe, mamy chrzany, mamy i ogórki. W okresie kanikuly, inaczej „psiej gwiazdy” wszyscy, jak sama nazwa wskazuje, jest pod psem. Chyba, że się jest nad morzem lub na ekskluzywnej, zagranicznej wycieczce „Orbisu”. Wtedy myśl o wydanych pieniądzech przesłania wszelkie inne niedostatki. Co jednak ma kompensować ogórkowe „frustracje” tych, którzy pozostali w mieście? Według najnowszych, naukowych odkryć, oczywiście kino. Szampańskie westerne, wstrząsające melodramaty, krwawe kryminały, przeżabawne komedie. To rzecz jasna w teorii naukowej. W praktyce życiowej epitety często odpadają, nie biorąc pod uwagę tych, którymi „rzuca” widz, opuszczając duszne sale kinowe. Bo melodramaty nudne, a komedie wcale nieśmieszne, zwłaszcza polskie.

Już od dawna komedia stała się w Polsce problemem. Bardzo poważnym. I słusznie, bo to nie żadne chichy, śmiechy, żadna zabawa. Problem i już. A my Polanie, my lubimy problemy. Natomiast z poczuciem humoru znacznie gorzej. Przykładem satyra. Gdyby nie wspaniałomyślność kelnerów, ekspedientek, poniekąd urzędników i mankiewiczów poszłaby dawno na wieczny odpoczynek. Ale co będzie jeśli wyżej wymienionym znudzi się rola opoki w satyrycznej twórczości?.. Strach pomyśleć... Rzecz w tym, że bez absolutnego poczucia humoru nie ma ani satyry, ani komedii z prawdziwego zdarzenia. Poczucie humoru oznacza także autoironię, umiejętność znalezienia dystansu również i wobec siebie samych. Można coś czuć, kochać i szanować, a nie zaskodzić się z tego trochę pośmiać. Inaczej uczucie zaczyna trącić patologią. Starożytni nawet w postaciach bogów doszukiwali się różnych stanów i przywały boskie stanowiska i znakomity pretekst do zabawy. Słynna angielska komedia filmowa wyrosła

z ironicznego stosunku do zasad i mentalności brytyjskiego imperium, które skądinąd Anglicy cenią sobie najwyżej w świecie. W tym układzie nawet marynarka Jej Królewskiej Mości — przedmiot dumy i miłości wszystkich jej poddanych może stać się obiektem radosnej kpiny. (vide „Niemowlę na manewrach” itd.). Napoleon dla Francuzów to nie tylko genialny wódz, ale i symbol najświetniejszego w dziejach Francji okresu jej sławy i chwały. Mimo to, ileż komedi włącznie z ostatnio udośćpioną nam przez CWF filmową wersją „Madame Sans-Gene”, powstało jego kosztem. Czy świad-

szczęsny Fredro zamilkł z przerażenia na długie lata ku wielkiemu literatury naszej uszczerbkości. Boy uważał Fredrę za jeden z nie-licznych uśmiechów jakie rozkwitły na jałowej w tym względzie polskiej glebie. Boy ubolewał zresztą wielce nad naszym narodowym brakiem poczucia humoru. Sam też należy do braku tego ofiar. Traktuje się go z lekceważeniem: zarażony miazmatami francuszczyzny, pełen esprit i frywolny, szargający narodowe świętości, a fe. Tak, Boy jest stanowczo w złym guście w kraju urzeczonym monumentologią. Największą świętością każdego Polaka jest rodzi-



czy to o braku szacunku dla Napoleona lub lekceważeniu jego rzeczywistej wielkości? Wprost przeciwnie. Ośmielę się sparafrazować Krasickiego twierdząc, iż prawdziwa wielkość śmiechu się nie boi. Ież zresztą powodów do zabawy i kpiny dostarczyła Francuzom sama Wielka Rewolucja. A u nas? Przed przeszło 100 laty Seweryn Goszczyński rzucił gromy na błędnego Fredrę, iż miał pryncypialne i ponure dramata narodu roztrząsając, pisaniem pobudzających do śmiechu i narodowej powadze urągających twórców się zajmuje. Nie-

ma bohaterska historia i honor narodowy. Te z należytym ceremoniałem i powagą traktowane być muszą. Można i należy na ponuro i krwawo rozwodzić się nad naszą zbyt pochopną skłonnością do bohaterstwa. Niech no jednak taki Chmielowski zrobi film „Gdzie jest generał?” a już rozlegają się głosy pełne oburzenia i niesmaku. Jakże to? A co zagranica pomyśli o nas i o naszym wojsku? Ze wódkę pije i białe się nie umie? Jakże światło film ten rzuci na naszą waleczną armię, która przeszła szlak bojowy itd. itd? A w ogóle z hi-

storycznego punktu widzenia film nie ma żadnego sensu i prawdziwie nie odpowiada. No właśnie. I rób tu komedię filmową.

W „Jadą goście, jadą” pokazano, oczywiście, absolutnie niezgodnie z prawdą historyczną, że Polacy wszelkimi środkami próbują zwabić ku sobie obcą walutę, a polskie dziewczęta mają dziwną słabość do dolarowych młodzieńców. Z miejsca odezwał się chór pełen najgłębszego oburzenia. Jak to, a co sobie zagranica o nas pomyśli? Od razu też wiedziony szlachetnym, patriotycznym poczuciem honoru pan Barea w „Zonie dla Australijczyka” wszem i wobec udowodnił dobitnie, że polskie dziewczę nie da się zwieść ani dolarom, ani modnym ciuchom i ekskluzywnym willom, ani nawet delikatosowym przysmakom. Dopiero prawdziwa miłość może popełnić wspomniane wydziewczę w ramiona australijskiego farmera. Nareszcie zagranica otrzyma właściwy obraz cnot i zasad polskiej dziewczycy. Twórcy filmu „Jadą goście, jadą” popelnili jeszcze jedno faux pas. Niebacznie zapuścili się na Podhale i spostrzegli, widocznie przez pomyłkę, że lud góralski lubi sobie dobrze pociągnąć z butelki. Nie dziwnego zatem, że krytykę, której Bóg zapewne powierzył honor Polaków ogarnęła zupełnie zrozumiała panika. Czy zagranicy znów mogły dojrzeć skąpe na portrecie Polaka doskonałego. Czy wyobrazić sobie, że w takiej sytuacji, drodzy Czytelnicy, mógłby powstać w Polsce film w rodzaju „Skandalu w Clochemerle”, bo ja nie. Dlatego, by ułatwić rozwiązanie wielce poważnego problemu polskiej komedii proponuję sporządzić spis tabu czyli spraw, z których śmiać się nie wolno z uwagi na honor ojczyzny i dobre imię Polaka, za granicą szczególnie. Ze względu na powagę zagadnienia sądzę, iż fakt ten znajdzie należyty oddźwięk w społeczeństwie.

Czy to wystarczy? Nie jestem w stu procentach przekonana. Lękam się bowiem, że i „Czyste szaleństwo” nie znalazłoby u nas szans realizacji. Wytyczono by przeciw niemu mnóstwo „pryncypialnych” argumentów. Tak jak ongiś (proszę mi wybaczyć to zestawienie dwóch zasadniczo różnych pojęć) z najcięższych dział socjologiczno-ideowych strzelano do nieco żartobliwego i nieco lirycznego filmowego pastiszu jakim była „Dziewczyna z dobrego domu” Bohdziewicz. No, ale cóż, Polacy słyną w świecie raczej z gościnności niż z poczucia humoru.

Cliff Richard występuje w trzecim filmie w swoim życiu. W filmie tym, zatytułowanym „Wspaniałe życie” (Wonderful Life) gra on młodego, dobrze umieszczonego człowieka, zaangażowanego w charakterze dublera do liczących superprodukcji. Tak więc główna atrakcją tego filmu są mniej lub więcej subtelne parodie najslawniejszych gwia-

ziorów filmowych; od „Syna szeika” począwszy, aż do „West Side Story”. Oczywiście wszystko tanecznie i śpiewnie. Pozostałe role męskie grają muzyki z zespołu „The Shadows”. Film realizuje Sidney Furie, ten sam, który reżyserował „Cheemy się bawić”.

W filmie „Poculuj mnie, głupcze” Kim Novak gra błyskotliwą rolę „perły salonu”, znaną pod imieniem Polly Pistolet. Tworzy ona wraz ze znakomitym piosenkarzem i aktorem Deanem Martinem czolową, brawurą parę w tym filmie, który jest oczywiście komedią muzyczną.

Kim Novak obejmuje rolę Joan Harlow, w biograficznym filmie, poświęconym tej tragicznie zmarłej platynowej gwiazdce lat trzydziestych. Film realizuje Irving Schulman.

Nowy film Jean Lue Goddarda, „Dobrana paczka” (La bande a part), stał się sensacją ostatnich tygodni. Z tej okazji tygodnik „Cinemathe” pisze o nim: „Oczywiście, nie jest to historia moralna... Odkrywa przed nami wszystkie słabości, teherzostwo, hipokryzję, głupotę. Postacie Goddarda są marionetkami obdarzonymi ciałem i krwią. Przeważa je do śmierci, głupiej, i niepotrzebnej... W „Dobranej paczce” występują między innymi Anna Karina, Sami Frey i Claude Brasseur.

Sprzedają swój dom i ziemię w Papecie po rozwodzie z doktorem Rouvaix. Obecnie jedynym na świecie człowiekiem, który może dać jej szczęście jest nowy mąż kupiec angielski, wraz z zmianą miejsca zamieszkania, zmieniła się też sytuacja zawodowa Martine Carol Terence. Young proponuje jej rolę obok Shirley Mac Laine i Vivien Leigh w filmie „Dole i niedole sławnej Moll Flanders”, według Daniela Defoe.

Steve Reeves, exmister Uniwersum, obecnie bohater szeregu filmów równie cenionych jak „Wojna Trojańska”, wybiera się do Singapuru; będzie tam pracował nad rolą w filmie „Malajscy piraci”. Partnerką Reevesa będzie subtelna i utalentowana Jacqueline Sassard. Czyżby na zasadzie kontrastu?

Jeśli można wierzyc pogłoskom Johnny Halliday został wybrany do roli Jamesa Deana w filmie „Życie Jamesa Deana”. Dla milionów nastolatków James Dean przybierze odąd twarz, głos i sylwetkę francuskiego bożyszczaka. Gazety podchwytują przy tej okazji wszystkie podobieństwa wewnętrzne i zewnętrzne pomiędzy Deanem i Hallidayem. Ale najważniejsze jest, jak nam się wydaje to, że reżyserem filmu o niezwykłym aktorze ma być Elia Kazan, ten sam, który „stworzył” Jamesa Deana. Kazan, twórca i wykładawca sławnego Actors Studio, wychowawca Montgomery Clifta, Mariona Brando, Richarda Widmarka, Marilyn Monroe. Można stać się dobrym aktorem pod wpływem tego wielkiego człowieka, trzeba tylko chcieć.

W filmie „Erasme aux taches de Ousser” grają razem James Stewart i Brigitte Bardot. Według scenarzysty James Stewart jest ojcem cudownego dziecka, niezwykłego biegłego w rachunkach i fanatycznego wielbiciela BB. Aż zdarza się wydarzenie niezwykłe. BB zaprasza go do siebie i odarowuje psem. Film realizowano w domu BB, która nie chciała pojechać do Hollywood. To Hollywood przyszło do niej.



Zwierz się Claudia Cardinale: Nie mam czasu wydawać pieniędzy, po cóż więc mam więcej zarabiać? W zasadzie smutek nie zgadza się z moim temperamentem, ale zawsze jestem smutna, kiedy kończymy film. To jest pożegnanie, może na zawsze, z tymi, z którymi pracowałem się długo — mam zawsze uczucie, że coś wtedy umiera. Na szczęście praca zaczyna się na nowo i to właśnie najbardziej lubię w moim zawodzie. To tak, jakby się żyło za każdym razem od nowa... Samochód? Kupiłabym chętnie, gdybym mogła zdobyć model walizkowy, składany. W moich podróży od kraju do kraju za drogą bym nie kosztowała samochodu własny; wózę wynajmowałam sobie wózę z szoferem na miejscu, to znacznie rozsądniejsze. Kiedy tęsknie do szybkości pozwalam mi zaprosić jakiegoś młodego młodemu człowiekowi, których przecież nigdy nie brak (o ile to możliwe, bez ucietych zamiarów) na mały spacer bołdem”. Sophia Loren? Mam taki sam zawód. To jedyny nasz punkt wspólny. Najbliższe plany na przyszłość to przede wszystkim mój dwudziesty piąty film. Będzie to film zatytułowany „Rogacz wspaniały”, realizowany przez Pietrangeli, z Ugo Tonazzim w roli tytułowej.

„La mer a boire” to tytuł filmu Renata Castellano, w którym występują Gina Lollobrigida i Jean Paul Belmondo. Bebel i Lollo tworzą tu podobno parę „wybuchową”. Gina gra w tym filmie rolę starszej panny, która dopiero w ramionach Belmondo odkrywa urok miłości i życia.

Nagrodę Gerarda Philippe, przeznaczoną dla najlepszego aktora poniżej 35 lat, zdobył w tym roku Laurent Terzieff...

Jean Marais przymerza plastikowe maski, w których wystąpi w filmie Andr Hunnebelles „Fantoma”. W filmie tym będzie skakał z pociążu w biesu, będzie się dostawał w locie do helikoptera...

Co wiedzą Francuzi o filmie polskim? Nie za wiele. Od roku 1946 wysłano na ekranych komercyjnych kin francuskich dwadzieścia polskich filmów. Wyrównują te braki trzy wydawnictwa: „La cinematographie polonaise”, wydana w Warszawie po francusku broszura, która zawiera krótki rys historyczny, kompletną filmografię do roku 1961 oraz informacje o systemie organizacyjnym polskich kinematografii.

W piśmie „Premier Plan” ukazało się studium poświęcone „Nowym filmowcom polskim”. Jest to seria szczegółowych biografii, napisanych bardzo naukowo, ale i z ogromną sympatią dla filmu polskiego. I wreszcie specjalny numer „Image et Son”, który poza analizą „Pociągu” i wieloma ciekawymi ilustracjami (szczególnie dobre reprodukcje plakatów filmowych) zawiera szereg biografii uzupełnianych wywiadami. Bardzo nam miło, że wreszcie o nas coś będzie wiadomo; a szczególnie miło, że jedno z tych wydawnictw jest naszą własną sensowną inicjatywą.

Cliff Richard występuje w trzecim filmie w swoim życiu. W filmie tym, zatytułowanym „Wspaniałe życie” (Wonderful Life) gra on młodego, dobrze umieszczonego człowieka, zaangażowanego w charakterze dublera do liczących superprodukcji. Tak więc główną atrakcją tego filmu są mniej lub więcej subtelne parodie najslawniejszych gwia-

## DOBRY ŻART DOLARA, RUBLA, FUNTA, FRANKA WART

Na temat torreadorów stworzono opery, pisał o nich Hemingway, kręcono filmy... Były to z reguły dzieła pełne dramatyzmu i dreszczu emocji. Rysownicy oczywiście patrzyli na te sprawy nieco inaczej.



Apart!

— Wylaż natychmiast na scenę!

Zawieszenie broni...

Szczęście rozbitka



JAN KOPROWSKI

# ŚLADAMI LEGENDY

Tu pod tą gruszką siedział Kościuszko, a pod tym jesionem Walewska z Napoleonem.



Maria Walewska — miniatura (emalia na porcelanie) ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie.

Wiele miejscowości w Polsce przyznaje się do Napoleona: tędy przejeżdżał, tu nocował, tam konie przepęgał, ówdzie jadł obiad, jeszcze gdzie indziej robił siusiu. Gdyby tak zliczyć to wszystko, nie starczyłoby Napoleonowi życia na odwiedzenie tej ogromnej ilości miejsc w Polsce, które rade by ubić dziś z owych historycznych odwiedzin jakiś profit. Pamiętam, gdy przed kilkoma laty za-wędrowałem do borów tuchołskich, tamtejszy leśnik pokazywał mi olbrzymie drzewo, pod którym — w czasie przerwy w podróży — „gruchali sobie Napoleon z Walewską”.

Jest tych miejscowości pod dostatkiem również na naszej łódzkiej ziemi. Któż nie zna wsi podsieradzkiej: Tu-mida, Próba i Zapolie? Związano je z imieniem Walewskiej i Napoleona, który w sieradzkiej wersji wychodzi na wyjątkowo zajadłego podrywacza. Postanowiłem więc wybrać się do miejsc owianych legendą napoleońską, by u ludzi zasiedziały tam od dawna lub będących na urzędzie „zasięgnąć języka” co do prawdziwości historycznych wydarzeń sprzed półtora stulecia. Co oni przechowali do tej pory z tradycji ustnej i pisanej? Najpierw zajwiamy do Oporowa, gdzie — jak nas zapewnia przewodnik turystyczny — w roku 1807 kwaterował Napoleon. Nie

zastajemy wprawdzie kustosza (jest nim kobieta, która wydała się żoną i przeżywa właśnie miodowe miesiące), ale urzędują na miejscu zastępcy jego, również płci żeńskiej. Wdajemy się w rozmowę.

— No więc jak, był tu Napoleon a z nim pani Walewska, czy nie? Zastępczyni kus toszki (czy to prawidłowo po polsku?) odpowiada, z początku nieśmiało, a potem coraz raźniej.

— Jestem tu dopiero dwa lata, ale nic o tym nie wiem. Zbieramy materiały historyczne, które chcemy opracować i udostępnić je zwiedzającym. Czy to był Napoleon? Czy była pani Walewska? Trudno na to odpowiedzieć. Podobno wybierała się ona na wypoczynek do Oporowa, ale czy wyjazd jej doszedł do skutku, czy nie, nie mogę stwierdzić na pewno. Zresztą nikt tego nie wie. I nigdzie o tym nie piszą, z wyjątkiem przewodnika po województwie łódzkim. Podobnie rzecz się ma z Napoleonem. Może był, może nie był, nie konkretnego nie wiadomo. Przynajmniej na razie.

Rozmawiamy na powietrzu. Przeglądamy się okazemu zamkowi, który już od przeszło roku znajduje się w remoncie. Budowla imponująca, ze wszystkich stron otoczona fosą. Remont miał być ukończony na 22 lipca tego roku, ale robotnicy nie żądają. Właśnie widzimy kilku z nich: siedzą nad brzegiem fosy z zapuszczonymi

się humory. Po drodze czytamy we wspomnianym już przewodniku: „Z prawej strony towarzyszącą nam rozległe sztuczne stawy założone na szerokim dnie doliny Bzury w pobliżu ujścia Mrogi. Stawy należą do ośrodka gospodarczego w Walewicach i stanowią podstawę rozwiniętego tu państwowego gospodarstwa rybnego. Znajdują się tu również stadnina państwowa. W parku wznosi się pałac pani Walewskiej (z 1783 r.) w stylu klasycystycznym. Mieści się w nim ośrodek muzealny ze zbiorami sztuki i pamiątek po Napoleonie. W pałacu zrekonstruowano i odnowiono cenne rzeźby z XVIII wieku wykonane przez włoskiego artystę Monaldiego, twórcę dekoracji zamku królewskiego w Warszawie”. Uzbójni w taki sposób wiadomości walny do Walewic. Ale po drodze chcemy obejrzeć te stawy rybne. Nad brzegiem siedzi paru wyrostków. „Jak tu z rybami?” — pytamy. „Jakie tam ryby, gówno nie ryby” — odpowiada jeden z nich, nie odwracając się na wet w naszą stronę. Widocznie nie robimy wrażenia, skoro potraktował nas tak niedbale. Gdybyśmy byli „Woiłgą” albo „Mercedeselem” może by go to ruszyło. „Warszawa” stała się już zjawiskiem nazbyt powszednim. Ponieważ rozmowa się nie skleiała, wjeżdżamy na dziedziniec pałacowy. I tu zaskoczenie: szwależerowie księcia Józefa Poniatowskiego parady jak za czasów Napoleona. Co u diabła! Po chwili sprawę się wyjaśnia: w pałacu rezyduje ekipa filmowa „Popiołów”, właśnie kręca sceny do filmu według powieści Żeromskiego. Jest i sam książę Józef, ale nie mamy szczęścia, by go zobaczyć. Wyczytujemy jedynie na spisie, że ma się charakteryzować codziennie już o 7.30 rano. Biedaczki! Nawet mu się wyspać porządnie nie pozwolą.

Jan Huszcza i sofer z synem idą oglądać park i dawne włości szambelana Walewskiego, ja natomiast udaję się do biura. Trzeba zacząć od początku: w obszernej sali trzy biurka: przy jednym z nich kierownik-kobieta. (W Oporowie kierownikiem, tu kobieta, wyraźne oznaki odradzającego się w Polsce matriarchatu). Węznowo: co wiedz o Walewskiej i Napoleonie.

— Przed rokiem był tu p. Marian Brandys, a potem nas osmarował. — Kierowniczka patrzy na mnie nieufnie. Czytałem, to co Brandys napisał w „Świecie”. Rzeczywiście, przygadali im szpetnie, że potraktowali go jak kupca koni. — A co, miał napisane na czole, kim jest i po co przychodził? — Kierowniczka zaprasza mnie do siadania i częstuje czereszniakami, które leżą na biurku na talerzu. — Nic tu nie ma, żadnych pamiątek. — No, a muzeum, o którym piszą w przewodniku po województwie? — Panie, pisać to może na wszystko, ale nie trzeba wierzyć w to, co napisane. Przecież Napoleona w ogóle tu w Walewicach nie było. Ponoć wybierał się do Walewic, Walewska mu nawet pokój szykowała w oficynie.

To nie mogła mu zaofiarować czegoś lepszego w pałacu! Wszystko to nie trzyma się kupy, bujda z chrzaniem.

Zły jestem na autorów przewodnika, ale nie mogę nie mówić. A co do pamiątek, to jest tu trochę mebli, zresztą podniszczonych. — Ona tu mieszkała, owszem. Tu nawet urodził się, poczętego z Napoleonem w Paryżu. — Czytałem niedawno o tym synu z starą Orgelbrandą. O Walewskiej ani słowa, o nim szczegółowo. Działal jako dyplomata i piarsz francuski. Wydał kilka broszur, był właścicielem dziennika „Le Messenger”, a w roku 1840 popełnił komedię dla teatru pt. „Szkoła wielkiego świata, albo kokietka mimo woli” (L'ecole du monde ou le coquette sans le savoir), która nie miała żadnego powodzenia. To był ów Walewski trojga imion Aleksander, Florian i Józef, hr. Colonna, użyczający w r. 1866 od Napoleona III godność księcia, wykształcony i zdolny, zdolny — jak mówiono — do wszystkiego.

— Była to kobieta ładna i nie dziwnego, że Napoleon za nią szalał. Ale nie tak znowu szalał, skoro rozwodził się z Józefiną, nie ożenił się z Walewską, lecz właśnie z Austriacką Marią Luizą. Miłość miłością, a polityka polityką. — Przypominam sobie anegdotę na temat urody Marii Walewskiej. Powtórzę ją za Stanisławem Wasylewskim, który z kolei powtarza ją za Aleksandrem Krauskarem. Gdy Walewska wychodziła z Luwru, strażnik zatrzymał ją, dowodząc, że Wenus z Milo nie wolno opuścić muzeum. Łączynką z domu, wydana za szambelana Walewskiego, starszego od niej o blisko sześćdziesiąt lat, gdy straciła nadzieję na późniejszą żonę Napoleona, po śmierci starego Walewskiego wydała się za hrabiego d'Ornano, jednego z najprzystojniejszych oficerów armii. Nie pozyla z nim długo, zmarła w grudniu 1817 roku w kwiecie wieku, lecz zaledwie dwadzieścia osiem lat. Pochowano ją na stynnym cmentarzu paryskim Pere-Lachaise. Istnieje wersja, że sprowadzono jej prochy do kraju i pochowano je w Kiernozli. Marian Brandys podtrzymuje tę wersję. Kierowniczka biura jest innego zdania. Możliwie panowie jechać do Kiernozli. Stąd niedaleko. Ale nie ma przecie żadnych dowodów na to, że Walewska tam pogrzebano. Tamtejszy ksiądz, który się tym zajmuje, nie posiada żadnych dowodów. I nikt tych dowodów nie posiada. Komu by się chciało sprowadzać jej prochy wtedy, w tamtych czasach? Mąż przecie już nie żył, a bracia to byli dranie, że niech ręka Boska broni. To oni wydali ją najpierw za starego szambelana, a potem pchnęli w objęcia Napoleona. Niby ze względów patriotycznych. Ze Napoleon wstawił się za sprawą polską...

Zrezygnowaliśmy z wyjazdu do Kiernozli. Chodźmy do parku walewickim, bo bardzo nam się spodobał. Oglądaliśmy wspaniałe konie, stadnina tu bowiem wzorowa, odchowane zrebaki spręda się za ciężkie pieniądze za granicę. Zamiast do Kiernozli, wybraliśmy się do Biław, gdzie na starym cmentarzu, w którym w okolicy kaplicy spoczywała szereg ostatnich właścicieli Walewic, Grabińskich, istnieją wydzielenie kwatery oficerów i żołnierzy, poległych w 1939 roku. Tu, na tych terenach, między Łowiczem i Kutnem, w dolinie Bzury, stocono jedną z najkrwawszych bitew w tamtej wrześniowej wojnie. Tutaj na tych polach i drogach żołnierze polscy szarżowali na koniach na czołgi niemieckie. W każdej mogile leży ich po kilku. Przeważnie są to żołnierze nieznanli. Nikt się już nigdy nie dowie, skąd przyszl i co to byli za ludzie. Pozbierani na polach, złożeni do mogił spoczywają na cmentarzu pod akacjami.

To, co tu widzimy, to już nie jest legenda. To najprawdziwsza prawda. Pamięć o tej prawdziwej bolesna jest i żywa. Groby są dobrze utrzymane. Widac, że mieszkańcy Biław zaglądają na cmentarz często. Chwila jest patetyczna i nie może być inna. Stoimy pochyleni i zafrasowani. Reszta jest mizernością.

## SPEKTAKLE tygodnia

FILM	
WŁOKNIARZ — „Zona dla Australijczyka”	6 419 widzów
35 seansów	
WISLA — „Życie nie jest łańcem”	5 861 widzów
18 seansów	
TEATR	
NOWY — „Włcek i Wałek”	1 200 — 63%
3 spektakle	
— „Marie Octobre”	300 — 30%
1 spektakl	
NOWY — „MALA SALA — „Cate życie”	360 — 64%
3 spektakle	
— „Garsé piasku”	360 — 64%
3 spektakle	
POWSZECHNY — „Piosenka prawdę ci powie”	668 — 100%
1 spektakl	
JARACZA — „Ania z Zielonego Wzgórza”	1 200 — 88%
2 spektakle	
OPERETKA — „Ptasznik z Tyrolu”	3 971 — 54%
6 spektakli	
OPERA — „Bal maskowy”	330 — 40%
1 spektakl	

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

EDWARD KOPCZYŃSKI

## OSTATNIE WAKACJE

„Zdarzenie z mego życia” — oto rubryka, którą chętnie goszczylibyśmy stale na łamach naszego pisma. Chcielibyśmy jej redagowanie powierzyć naszym Czytelnikom. Chodzi o materiały autentyczne, osobiste, może jakie fragmenty biografii, może zwierzenia. W końcu jest chyba prawda w tym, co mówią wieszace, że „trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę”.

Dzisiaj publikujemy wspomnienia Edwarda Kopczyńskiego z pierwszych dni okupacji w Łodzi.

Nazywała się Maria Gundlach, a my w „budzie” nazywalimy ją „cipką”. Mała, pulchna, zawsze jednakowo uczesana w „kok”.

Nie miała humorów. Czasem tak, gniewała się jeśli

cała klasa nie nie umiała. Mówiła: „Moi drodzy, zro-bilibście mi przykrość”.

W końcu roku szkolnego 1938/1939 żyliśmy już planami przyszłych wakacji. Mimo bliskiego lata pani Gundlach zjawiała się na swoich lekcjach jednakowo punktualnie i uczyła nas niemieckiego — z uporem, wytrwałą, bo co tu dużo mówić — wybitnych talentów lingwistycznych wśród nas nie było. Prześladowały nas wtedy: „die, der, das, einer, eine, eines” i temu podobne „ja-mańce”, które logicznie nie zgadzały się z rodzajem żeńskim, męskim i nijakim w naszym ojczystym języku.

Odpowiadając pani Gundlach udawaliśmy najprawdziwszych Niemców i końcówki słów einer, eine, eines wymawialiśmy tak, że roz-

plywały się gdzieś w powietrzu i trudno było ustalić, czy powiedziano dobrze, czy źle. Ale nie zawsze to się udawało, bo pani Gundlach przykładała rękę jak trąbkę do ucha, podchodziła bliżej i prosiła o wyraźne powtórzenie. Uśmiechała się przy tym, jakby przepraszała, bo wiedziała dobrze, skąd się bierze nasza maniera.

Wreszcie te ostatnie wakacje szkolne. W kieszeni promocja do klasy II i 70 zł zarobione na korepetycjach... W czasie wakacji słyszało się, że będzie wojna choć nikt w nią naprawdę nie wierzył — zamiast do szkoły w dniu 3 września 1939 r. wyszedłem z Łodzi, zgodnie z życzeniem władz. Droga przez Brzeziny, Łowicz, Sochaczew do Warszawy, gdzie miało dać nam broń. Pod Brzezynami Niemcy urządzili polowanie na ludzi. Karabiny maszynowe i bomby. Dla wie lu wojna tu się skończyła. Wróciłem do domu po 3 tygodniach. A potem, nie u-

mieniem tego dziś określić dokładnie, przyszła wiadomość, że szkoła jest czynna i można kontynuować naukę. Było jakoś inaczej. Bez śmiechów, wrzasków, tego żywiołowego tumultu pierwszych godzin w szkole po wakacjach. Poważnie; uroczyście, jak po pogrzebie. Nawet mówiono się niewiele.

Brakowało kolegów, po paru w starszych klasach, brakowało paru profesorów. Żadnych sprawdzonych wiadomości — po prostu nie było ich — i nie wiedzieliśmy wtedy, czy to dobrze czy źle. Jednego dnia dwóch kolegów spacerowało z sobą, drugiego dnia znikali. „Urwali się i poszli za granicę” — mówiono po kątach i toaletach szkolnych.

I znowu nie pamiętam, czy to było pierwszego dnia, po otwarciu szkoły, czy drugiego. Przyszła do naszej klasy pani Gundlach. Niby taka sama jak zawsze, uśmiechnięta, ale od drzwi podrozwiała nas inaczej, niż zwykle

— po polsku: „Dzień dobry cholopy”.

Wstaliśmy i powiedzieliśmy: — Dzień dobry pani profesor.

Usiadła w środkowym rzędzie, w pierwszej ławce, gdzie było wolne miejsce. W klasie zrobiło się cicho. Patrzyła na nas jakoś inaczej, a uśmiech na jej twarzy też był inny niż zwykle. Mówiła do nas po polsku. Nie powtórzę dziś tych słów dokładnie, choć obraz mówiącej pani Gundlach wrył mi się w pamięć. Powiedziała mniej więcej tak: „Spotkaliście się po tych wakacjach w nowej rzeczywistości. Łódź, kraj cały jest okupowany. Władzę sprawują Niemcy. Muszę wam wyjaśnić swój stosunek do tych zmian. Jestem niemieckiego pochodzenia, ale zawsze byłam Polką i jestem nią teraz. Zdając sobie sprawę z tego co mówię i gotowa jestem ponieść wszystkie tego konsekwencje.” — z uśmiechem dodała.

— „O tym samym poinformowałam kolegów-profesorów — cały zespół”.

Milczeliśmy wzruszeni. Na tej lekcji nie padło jedno słowo po niemiecku.

Szkolę zamknięto ostatecznie przed świętami Bożego Narodzenia w pierwszym roku wojny — na cały czas okupacji.

A pani Gundlach? Zapakowała trochę rzeczy i cichaczem przeniosła się do Warszawy, gdzie przeżyła okupację. Brała udział w tajnym nauczaniu. Po wojnie wróciła do Łodzi i była polonistką, bo niemieckiego nikt w tych latach nie chciał się uczyć. Później dostała emeryturę, tę z pierwszego portfela. Zyje do dzisiaj, samotnie. Staro człowiek, gdzieś na ulicy Kilińskiego, chociaż może nie. W tym roku na zjeździe absolwentów Państwowego Liceum i Gimnazjum im. Narutowicza zgłotaliśmy jej najwspanialszą owację. Nie zabrakło takich ręk



# „KSIĄŻKI O MIŁOŚCI”

W czasach pierwszego masowego kolportażu „Cierpień młodego Wertera” strzelano sobie w łeb. Z powodu miłości. A w Polsce przed wojną podobno czyniono to samo na skutek piosenki „To ostatnia niedziela, jutro się rozstaniemy”. Werter był dziełem sztuki. Strzelanie sobie w łeb pod Wertera było w dobrym guście. Strzelanie sobie w łeb pod „ostatnią niedziela” było w bardzo złym guście. Oto jak sztuka sprawdza się w życiu.

Na „Romea i Julię” ciągną do teatru tłumy. Słowa „ostatniej niedzieli” wyciskają z oczu łzy niektórym babcom, a Wertera czytają najczęściej studenci filologii. Na podstawie jakich prawideł sztuki i pseudosztuki z amarami swoich bohaterów wchodzi albo nie wchodzi w życie?

Final dziełw Romea i Julii odbieram zawsze jako happy end. Ich związek nabiera wartości absolutnej. Placę się za nią życiem z gestem utracjusza. Szekspir oddzielił pierwiastkową, niepodzielną substancję Miłości od osadu okoliczności. Alternatywa, którą postawił przed Julią i Romeem, upraszcza maksymalnie ich problemy. Nie wiadomo dokładnie, jak dalece taki model przeżywania był do przyjęcia w czasach Szekspira. Jest oczywiście, że dzisiaj jest nie do przyjęcia. Ale podczas wojny, w okresie dewaluacji życia i ciągłych alternatyw jakaś wersja tego modelu ożyła („Romeo, Julia i ciemność”). Przykład ten dowodzi, że możliwość trwania jakiegoś modelu łączy się z interpretacją pewnych wartości, których zasięg ogromnie przerasta zakres spraw indywidualnych. Niedawno przelimitowana książka Kestena „Szczęśliwi ludzie”, jedna z najbardziej mądrych powieści „badawczych” książek „o miłości” znajduje się na antypodach Szekspira. Miłość została sprowadzona do uwarunkowań, sięgających bardzo głęboko, bo aż w strukturę społeczną. Romeo Keste na przestaje kochać Julię wtedy, kiedy na skutek inwazji jej uczucie może znaleźć się w niebezpieczeństwie. Romeo Kestena w zakończeniu książki jest wreszcie szczęśliwy, mimo że Julia rzuciła się pod pociąg, ponieważ osiągnął to, co stanowiło dla niego wartość największą — pewną ilość pieniędzy i dostatek, ustabilizowane życie. Zdarzyło mi się słyszeć zdania, że książka Kestena jest okrutna, niewątpliwie — jest okrutna jak wszystkie, co próbuje zburzyć system przyjętych wartości, ukazuje, jak w świecie współczesnym sprawy osobiste są jedynie wypadkową potężnych sił rządzących światem i obo-

jętnych dla wszystkich uczuć. Kesten pomaga jednocześnie wyjaśnić sprawę samego przejmowania modeli literackich przez życie. Muszą zaistnieć pewne okoliczności, w których zakochani bohaterzy literaccy zaczęli żyć prawdziwym życiem. Nie odbywa się jednak to w sposób prosty, jeden model nie zastępuje drugiego. Większość chyba starych Romeów i Juliów w postaci niepełnej a nawet czasem szczytkowej blika się wśród nas. Widziałam egzemplarz „Pani Bovary” tak wy czytane, że ich strony przypominały brudne szmaty. Być może, że część czytelników szukała tylko uroków dramatycznej fabuły: uciekanie czy nie uciekanie od prowincjonalnego lekarza podtruta literaturą romansową heroina? Mimo to jednak pani Bovary i dziś znajduje chyba odzwierciedlenie swojej roli, chociaż jest z innej epoki i innego terenu. Więzy, z którymi walczyła pani Bovary, właściwie w zmienionych formach istnieją do dziś. Tak, pani Bovary wyraźnie żyje, zresztą jest w niej coś bardzo współczesnego, kiedy świadomie niszczy to, z czego nie może się wyzwolić.

Niewątpliwie i miłości Hemingwaya żyją wśród nas. Hemingway, który próbował dowiedzieć, że jego bohaterowie miłują się „sami z siebie” a nie według wzorów literackich, a stworzył jeden z najbardziej sugestywnych modeli przeżyć erotycznych. Żyją wśród nas jeszcze modele inne, a jest ich sporo. Wzory jednak zapożyczone z innego czasu i innego miejsca, bytują w sposób niepełny, nie dzięki tym warunkom, które właśnie się tworzą, ale tym, które pozostały. Zmienione są realia. W takim wypadku następuje często tylko przejęcie samego „sposobu bycia”, bez właściwych przeżyć, związków z warunkami, w których powstały. Tak było u nas z Hemingwayem, tak było i z Saganką. A jak jest z przebojami sezonu w rodzaju owej „ostatniej niedzieli” z „Tredowatą” i całą plejadą rozmawianych literacko twórców? Sprawa polega chyba na towarzyszeniu pewnemu nurtowi prawdziwej literatury. Mnisekówna była karykaturą powieści modernistycznej, jej schematy uczuciowe podawała na swój sposób. Oczywiście nie można mówić o jakimś osobnym modelu a tylko o odpadkach literatury, którymi część ludzi się żywi we wszystkich krajach i wszystkich epokach.

Czy obecnie istnieje model przeżywania, który powstał w naszych warunkach i w tych

warunkach jest odtwarzany. Oczywiście nie można tu brać pod uwagę wszystkich książek „o miłości”, a tylko takie, które miały największe szanse, aby ten nowy model stworzyć. Wydawało się przez pewien czas, że szanse takie mają książki Hlaski i Hlasko-Idów, przede wszystkim Magdy Lei. Niewątpliwie model Hlaski wnosil pewien „sposób bycia”, ale w zasadzie opierał się na starym systemie wartości: istnieje miłość (dobra) i niemłość (zła). Niemłość — oznacza związki przypadkowe; owszem, one są, ale należy czekać na Miłość. Niemniej Hlasko atakował ten sam problem co Kesten, choć bardziej na ślepo, problem przemiany samych uczuć pod wpływem okoliczności. Zauważał, że coś się dzieje i bił na alarm, nie bardzo dokładnie wiedząc, na jaki. Podobny system, choć w formie dużo mniej dobitnej, przeżyła Magda Leja. Barbara z „Histeryczki”, zarówno jak bohaterki jej opowiadań, krążyła koło Miłości Prawdziwej, która nie nadchodzi, lub też nadchodzi. Same jednak nadzieje, wydarzenia wybijają się czasem tak dalece na plan pierwszy, (przez co forma staje się bardzo tradycyjna), że książki Lei wiszą na krawędzi powieści tylko opowiadającej, a nie próbującej analizować sferę przeżyć i tworzyć modele.

Na pozór sugestynniejszy niż model Lei wydaje się model Iredyńskiego. Ale tylko na pozór. Studia Iredyńskiego nie są wcale książkami o miłości. Są to studia różnych pów — zabawa w antyprzeżycia — przez co literatura, bez obrazu dla dużej pomysłowości Iredyńskiego, staje się nieco patologiczną.

Oczywiście, wiele nazwisk można by jeszcze przytoczyć. Te dwa są jednak dość reprezentatywne. Faktem jest jednak, że nie ma książki o miłości, napisanej współcześnie, która by swój model przeżywania potrafiła na dużą skalę powieścić w życiu. Najśliszj zakorzenionym modelem naszej literatury był ten, wytworzony przez poezję romantyków, i kontynuowany potem przez Żeromskiego, model miłości fatalnej i patetycznej. Wzór ten tak silnie się zakorzenił, że do dziś nie powstało nic, co na prawach równości można by mu przeciwstawić.

Dlatego brak nam współczesnej książki o miłości? Dla czego literatura miała się po wszystkich byłych terenach od Mickiewicza aż po „sposób bycia” Hlasko-Idów? Oczywiście odpowiedź na takie pytanie może być jedynie głosem w dyskusji. Jest chyba tak, że bohaterowie książek wprawdzie z różnych powodów zbliżają się do siebie i oddalają, ale nie zbliżają się ani nie oddalają ich dwa światy, które zawsze się o siebie muszą orzeź, niezależnie od tego, czy spotkanie trwa pięć godzin, czy pięć lat, czy jest przypadkowe, czy trwałe. Wszelkim historiom miłosnym brak głębszego tła. Dlatego przejąć można najwyżej ich powierzchny „sposób bycia”, ale nie ich świat, ponieważ go nie mają. Dlatego nie mają go i czekający na nowy model.

# Nauczycielka HEMINGWAYA

Gertruda Stein nie jest wielką pisarką. Jest autorką znakomych sekwencji zdaniowych. Ale jej proza, proza potraktowana jako całość? To fiasko. „The Making of Americans” miało być głównym dziełem Gertrudy Stein. Pisała go pięć lat. Pomiedzy 1906 r. a 1911 r. Była to wielka saga rodzinna, na wzór mannowskich „Buddenbroków”. Niepodobna przeczytać jej do końca. Niepodobna przeczytać nawet skróconej wersji. Tej z 1934 r., zredukowanej przeszło o dwie trzecie.

Cóż pozostaje z Gertrudy Stein? To, co najmniej znaczne, co najmniej charakterystyczne. To wszystko, co odchyła się, odbiega od jej modelu prozy. Wszystko? Nie przesadzajmy. Nie ocali się przecież jej pierwsza powieść „Things As They Are” napisana w roku 1903. Powieść, której Gertruda Stein się wyparła, a którą ogłoszono drukiem dopiero po jej śmierci. Ale przez „Things As They Are”? Ostanje się przecież zarówno jej właściwy debiut „Three Lives” jak i „Autobiografia Alicji Toklas”. I może jeszcze „Autobiografia każdego”. Ostaną się więc utwórki, dzieła peryferyjne. W nikłym jedynie stopniu świadczące o tym, czym była Gertruda Stein. I co przedstawiała sobą jej piśarstwo. Może jeszcze coś nie coś powiedzą nam o tym „Three Lives”, zwłaszcza najgłośniejsze z opowiadań pomieszczonych w tym tomie „Melanctha”. Bo „Autobiografia Alicji Toklas”... Trzeba to powiedzieć od razu. „Autobiografia Alicji Toklas” była zdradą. Tak jak zdradą była „Autobiografia każdego”. Gertruda Stein nigdy nie wiazała większych ambicji. Był to pomnik wystawiony Gertrudzie Stein. Za jej życia. Przez samą Gertrudę Stein.

Gertruda Stein poniosła klęskę. Była to pisarka o wielkiej inwencji. Inwencji szczególnego rodzaju. Pomysłowość Gertrudy Stein jest pomysłowością strukturalną. W pierwszym rzędzie w grę wchodzi tu rozwiązania stylistyczne. Ry-

mizacja prozy i technika nieustannie nawracających powtórzeń. To, co nazywano nieraz automatyzmem. Owo permanentne ogrywanie kilku słów. Posługiwanie się nimi na zasadzie stylistycznego refronu. Skreślenie epitetów i odwrót ku elementarnym konstrukcjom składniowym. Była to wielka modyfikacja języka amerykańskiej prozy. Gertruda Stein prezentowała nowy model stylistyki. Nie tylko stylistyki. Bo i kompozycji. I tu zaczyna się niewspółmierność. Jest to niewspółmierność struktury, a raczej określonych idei strukturalnych, do tego, o czym się opowiada. Do wydarzeń stanowiących przedmiot dzieła. „The Making of Americans” zabija banał. I banał zabija „Willie and Brewsie”. Pomysł kompozycyjny, pomysł stylistyczny nie przystaje do pomysłu fabularnego. Domaga się innej „historii”. Od biedy można było to znieść w „Melancthie”. Tam rozbieżność nie była rozbieżnością aż tak zasadniczą natury. Ale w „The Making of Americans”?

To zrozumiałe. „Historia”, tak, „historia” niewiele obchodziła Gertrudę Stein. Szło jej przecież o język „czysty”. O całkowite odnowienie języka prozy. O to, co leżało na sercu francuskim symbolistom. A w każdym razie Stefanowi Mallarmé. Stein zmierzała ku separacji języka etnicznego i języka literatury. Podobieństwo byłoby tu zaledwie pozorem. Różnica stawała by się różnicą reguł semantycznych. Język prozy operowałby innymi regułami niż język etniczny, choć dysponowałby tym samym zasobem leksykalnym. Tylko że... Tylko że reguły semantyczne je-

zyka prozy byłyby regulami ukrytymi. Otrzymywalibyśmy do szyfru klucza. Język prozy jako szyfr był programem realizowanym w „Tender Buttons”. Język prozy jako szyfr był racją przegranej Gertrudy Stein.

Gertruda Stein nie jest wielką pisarką. Ale nie można mówić o prozie amerykańskiej lat dwudziestych, milcząc o Gertrudzie Stein. Nie dlatego, że poprzez jej salon przewinął się Hemingway i Scott Fitzgerald i tytuł, tytuł innych. Ze patronowała amerykańskiej awangardzie, że formowała smak pisarski straconego pokolenia. Zapewne są to względy, dla których trudno nie wspominać Gertrudy Stein. Ale myślę, że są to względy doprawdy mniej ważne, doprawdy drugorzędne. Sprawa kluczowa jest tu oddziaływanie jej piśarstwa na młodą prozę amerykańską lat dwudziestych. To Gertrudzie Stein zawdzięcza ona wybór tradycji. Odwołanie się do Flauberta. Tego samego Flauberta, który unosił się nad „Three Lives”. Ależ tak, oczywiście. Nie była to tradycja jedyna. I nie sięgali po nią wszyscy. Ale robili to Hemingway. I robił John Dos Passos. Eksploatowali Flauberta. Był to Flaubert przetwarzony przez Gertrudę Stein. Gdybyż wszystko kończyło się na flaubertowskiej tradycji. Ale stylistyka, stylistyka wczesnego Hemingwaya. I stylistyka Dos Passosa, choćby narracyjnych sekwencji „USA”. Konstrukcja syntaktyczna zdań, odrzucanie przymiotników, powtórzenia odgrywane rolę stylistycznego refronu, wreszcie widzenie świata jakby oczami dziecka. To przecież idee pisarskie Gertrudy Stein. Od niej przejęte, od niej wypożyczone.

Tak, Gertruda Stein nie była wielką pisarką. Najlepsze jej książki? Najlepsze jej książki pisał ktoś inny. Pisał je Ernest Hemingway.

LECH BUDRECKI

## Fraszki Jana Czarnego

CZASEM  
Czasem i zegar wstarczy:  
Z tarczą, albo na tarczy...

EUREKA  
Nieraz czelek wielki czeka,  
zanim krzyknie: eureka!

## Książki

# Książkami

KRAJINA SNIEGU

Literatura japońska, mimo pewnych, niezmiernych starań w kierunku przyswojenia jej polskiemu czytelnikowi, jest u nas ciągle mało znana. Ten fakt ma niewątpliwie decydujący wpływ na typ odbioru z jakim literaturę japońską w Polsce się spotyka; ponieważ nie ma skali porównawczej, lub skale porównawczą stanowią nieliczne pozycje, każdy utwór jest traktowany jako fenomen osobno. Ponieważ zaś realia

utworu są na ogół nieznanymi odbiorcy, książka zyskuje aurę niezwykłości, która decyduje o wartościowaniu. Tak właśnie jest z „Krajina sniegu” Kawabata Yasunari. Egzotyka miejsca i sytuacji, w pewnym stopniu egzotyka zachowań bohaterów sprawiły, że książka spotkała się z przychylnym przyjęciem. Spróbujmy jednak odrzucić to wszystko, co cieszy nas niezwykłością. Zostanie powieść dość niechlujnie napisana, z licznymi powtórzeniami, których nie można, niestety, za radą tłumacza, traktować jako świadomy zabiar artystyczny, zostanie banałami i obrazami przyjaźny i odjażdzy światowego oklęczyka do małej miejscowości uzdrowiskowej i jego przygody miłosne z prowincjonalną gejszą, zostaną dość nieciekawe psychologizacje postaci, postać jak by niedoprowadzone do końca w zakresie obranej koncepcji psychologicznej.

Jeśli jednak zgodzimy się na ten zespół wątpliwych wartości, zostanie jeszcze rzecz najważniejsza — została obserwowana, liczenie umieszczona na kartach książki, które zna

mionują niedwuznacznie wyobraźnię grafomana.

Przedmowa do powieści szeroko traktuje o wpływach kulturowych prądów europejskich na literaturę Kawabata Yasunari. W „Krajina sniegu” jedyną widomą oznaką asymilacji wpływów europejskich jest powtarzane w przedwownych załże kontekstach sformułowanie „sztuka dla sztuki”.

Egzotyka powieści nie zdoła podtrzymać literackiej rangi utworu. Tak, jak brak tej egzotyki nie wpłynął na zmniejszenie wartości innej powieści japońskiej, wydanej w Polsce przed kilkoma laty „Ogni polnych” Shohel Ooka.

Kawabata Yasunari, „Krajina sniegu”, Warszawa 1964, PIW, str. 193, cena 12 zł.

A. P.

TRYPTEK NA SNIEGU

Nie miałem zadania do konkursów na zadania do konkursów. Ale jeśli wszystkie wyróżnione pozycje dołączają książki Mikolajka, to można pogratulować inkietywy Wydawnictwu MON.

Można traktować „Tryptyk na śniegu” jako kompozycję trzech opowiadań, ale lepiej uważać za to, czym jest naprawdę: za symultaneous mikropowieść. Nie tylko dlatego, że jak powiada w kwastwstępnie autor, drogi bohater zbiegał się i „ją czy ich na pozór ta sama intencja”. Wspólny jest bowiem również czas i miejsce działania bohaterów. Na kilku kilometry kwadratowych lasu tym ostrzej zaznacza się różnica ich postaw, chociaż na pewno nie przeciwstawił stanowli o wzajemnej izolacji Pawła, Cykateca i Biektiego.

Losy każdej z tych postaci rozstrzygają się osobno, ale jednocześnie. Mamy więc jakby trzy strony tej samej sytuacji. Trzy różne polityczne punkty widzenia na walce z okupantem. W finale autor nawet odchodzi od przyjętej przez siebie kompozycji politycznej. Stawia sobie pewnie za cel poszerzenie książki o akcenty już pozaokupacyjne. Ale jest przede wszystkim wierny faktom. Z wyjątkiem półlawnej wspólpracy NSZ z okupantem cały ruch podziemny ce-

chowała ta sama wola walki. Różnice dotyczyły przede wszystkim koncepcji osiągniętego zwycięstwa.

Książka ta dla dojrzewałego pokolenia będzie przewodnikiem polskiego ruchu podziemnego. Dla wszystkich będzie dobrą książką, która na pewno warto przeczytać, a nawet posiadać. Zwłaszcza, że graficzne opracowanie Jerzego Kepkiewicza w równym stopniu co sama powieść pracuje na dobre imię „Tryptyku na śniegu”.

K. F.

Tadeusz Mikolajek „Tryptyk na śniegu”, Wyd. MON, 1964, str. 168.

JENIEC I DZIEWCZYNA

Różne były losy polskiego żołnierza w drugiej wojnie światowej. Różne i niełatwe. Jedni walczyli w RAF-ie, inni we francuskiej Resistance. Jedni zabili nudy w oflagach, drudzy umierali w podziemiach kruppowskich fabryk. Jeszcze inni — internowani w republiki trzech kantonów — pedził bimber i szokowali zimne Szwajcarki. Los tych

ostatnich wcale nie był szczęśliwszy.

O nich to — książka pt. „Jeniec i dziewczyna” napisał Kornel Filipowicz — i tu na marginesie można zauważyć, że już druga kolejna książka autora — o którym się tyle i tak dobrze pisze, robi na mnie podobne, nie najkorzystniejsze wrażenie. Spróbujmy je sprzezywać: ta książka ma wartką akcję, grabnie kawalki na temat „My Polacy”, biegle prowadzone dialogi. To jest duża klasa pisarskiego warsztatu. To jest biegłość, rzemiosło, stylistyka. Świeżość i czysta te gładziące zdanka, „czysta ale” — mówiąc stylem przekrojowej wyroczni, aż chciałoby się umieszczać na obwolutce napis: „Czysta się 45 minut”.

Książka jest więc zgrabna, gładziutka i — w gruncie rzeczy — płytka. Warto ją przeczytać, bo zawsze warto czytać książki dobrze napisane. Nawet w wypadku, gdy nie znajdujemy tam trudnej prawdy, jakiej domagał się temat.

J. W.

Kornel Filipowicz „Jeniec i dziewczyna”. Wydawnictwo Literackie 1964.





**Przedstawiam  
Państwu  
opowiadanie  
którego nie  
pozwolili mi  
zrealizować w TV**

*Alfred Hitchcock*

Tony Dampino kochał swoją żonę. Gdyby ktoś mu powiedział, że pewnego dnia zamorduje ją, przypuszczalnie usłyszałby taką odpowiedź: — Odczep się idioto, bo pozalujesz. Jesteś chyba nienormalny, jeżeli ci przychodzą takie brednie do głowy. Wolalibyśmy się zastrzelić.

A oto co się wydarzyło. Pewnego dnia Tony przyszedł do domu wcześniej niż zwykle. Kiedy otworzył drzwi, usłyszał cudowny śpiew, który można było porównać jedynie do śpiewu anioła. Wtedy zamknął cicho drzwi i stojąc słuchał.

W tym śpiewie było wszystko. I radość i smutek. Dźwięki te kołysały i zachęcały do marzeń. Jeżeli ktoś raz usłyszał ten głos, chciałby go słuchać zawsze.

Tony wszedł do sypialni, gdzie zastał swoją żonę Agnes. To ona śpiewała. Kiedy go zobaczyła, śpiew urwał się.

— Aggie, nie wiedziałem, że tak potrafisz śpiewać.

— To nic nie było.

— Nic? Co to znaczy?

— Po prostu nic.

— Nie mów tak. Nigdy nie słyszałem czegoś podobnego. Zaśpiewaj.

— Nie.

— Dlaczego się upierasz?

— Nikomu nie będę śpiewała.

— Przecież jestem twoim mężem. Zaśpiewaj mi.

— Nie.

Tony spojrzął na Aggie. Znał się 10 lat. Nagle uświadomił sobie, że jeszcze ani razu nie słyszał jak ona śpiewa. Było coś, czego o niej nie wiedział. Bardzo możliwe, że było więcej tajemnic otaczających Aggie. Zabolalo go to.

— Dobrze, nie śpiewaj. Komu jest potrzebny twój głupi śpiew?

Tony wszedł do łazienki, zajął kosiarkę i zaczął się myć. Drżały mu ręce, tak był przejęty. Jeszcze raz pragnął usłyszeć ten głos, a Aggie takim drobniutkim głosem chciała mu sprawić przyjemność. Poszedł, żeby wziąć świeżą kosiarkę i znów spotkał Aggie. Patrzyła na niego łagodnie i przeproszająco. Zarzuciła mu ręce na szyję. Tony miał owłosione ręce, piersi i brzuch. Był dobrze zbudowany. Aggie to lubiła. Mówiła, że jest prawdziwym mężczyzną.

— Tony, nie gniewaj się.

— Kto się gniewa?

— Proszę, nie gniewaj się. Ja dla nikogo nie mogę śpiewać. Nie pytaj dlaczego, ale nie gniewaj się na mnie.

— Dlaczego nie możesz?

— Nie mogę.

— Czy to znaczy, że śpiewasz tylko dla siebie?

— Nie pytaj.

— Dobrze — mruknął Tony. To się jeszcze okaże, pomyślał.

Ale nawet w pracy słyszał śpiew żony. Chciał ją usłyszeć. Przecież ten głos naczał tak samo do niego jak Aggie. Dlaczego Aggie ukrywała to przed nim?

Prosił ją kilkakrotnie, ale nie chciała. Pewnego wieczoru zabrał ją na kolację, potem na koncert rozrywkowy i do nocnego lokalu. Po powrocie do domu posadził ją na kanapie, odkorkował butelkę i dał jej się napić. Usiadł obok i zaczął śpiewać „Home on the Range”. Ale śpiewał sam. Aggie nie wydobyla z siebie ani jednej nutki. Zaśpiewał trzy

kwadrylskie piosenki i też bez żadnego skutku. Tony nalał jej jeszcze i zaśpiewał „La donna e mobile”, „O sole mio” i wreszcie „Smoke Gets in Your Eyes”. Aggie miała łzy w oczach i była trochę rozmarzona, wtedy zaczęła ją zachęcać, by śpiewała razem z nim, ale nie chciała. Kiedy śpiewał „Annie Laurie” ktoś krzyknął przez okno: — „Prześtań ryczeć, ty cholerny pijaku i daj ludziom spać! Wtedy Tony powiedział: — A niech to wszyscy diabli. Położył się i zaczął chrapać. Aggie przytuliła się do niego.

Pewnego razu, kiedy byli na przyjęciu, Tony podszedł do gości zgromadzonych wokół fortepianu, którzy przy akompaniamencie śpiewali jakąś piosenkę.

— Proszę o spokój! — krzyknął. — Jeżeli chcecie usłyszeć jak się śpiewa, poproście o to moją żonę. Co zaśpiewasz, kochanie?

— Tony, jak możesz — powiedziała Aggie. Wzięła piaszczyk i szybko wyszła, a on musiał biec za nią jak wariat.

Ale Tony nie zrezygnował. Ten anielski śpiew był mu równie potrzebny jak prawa ręka.

W pobliskim sklepie pracował jego znajomy, który cieszył się opinią mądrego człowieka. Kiedy Tony opowiedział mu o wszystkim ten stwierdził, że są to objawy choroby umysłowej.

— Co robić?

— Zaprowadź ją do lekarza.

— Dobrze — zgodził się Tony.

Zamówił wizytę i przed wyjściem powiedział do żony:

— No, Aggie, idziemy.

— Dokąd? — ucieszyła się.

— Idziemy do psychiatry, ale nie waż mi się sprzeciwiać.

— Po co? — spytała cofając się.

— Żeby usunąć twoją niechęć do śpiewu.

— Ach tak! Jeżeli chcesz to idź. Ja zostaję.

Próbował ją wyciągnąć siłą, doszło nawet do porządnej awantury. Potem Tony przeprosił żonę, ale Aggie i tak do lekarza nie poszła.

Tony pojechał do Bensonhurst, by zobaczyć się z bratem Aggie, Philem, który mieszkał wraz z żoną i trójgiem dziećmi.

— Pewnie — powiedział, Phil — słyszałem jak ona śpiewa.

— Dlaczego dla mnie nie chce zaśpiewać?

— Kiedy miała zśmieszać lat, umarł ojciec i wtedy przestała śpiewać.

— Myślisz, że to ma coś z tym wspólnego?

— Jasne. Mama też tak myśli. Możesz ją spytać.

Tony nie lubił teściowej, ale pojechał do niej.

— Aggie była bardzo przywiązana do swojego ojca — powiedziała. — Zawsze śpiewała tylko dla niego, a kiedy umarł, przestała.

Po powrocie do domu Tony opowiedział żonie, że wie o wszystkim.

— Śpiewałam tylko ojcu.

— A mężowi?

— Nie.

— Wydaje mi się, że mąż jest lepszy od ojca.

— Czasami.

— Myślisz, że ja nigdy nie miałem ojca? Ale nie miałem zahamowań, kiedy umarł.

— Bo ty miałaś innego ojca.

— Głupstwa gadasz.

Nie masz o tym zielonego pojęcia — powiedziała Aggie podniesionym głosem. Była zdenerwowana. — Kiedy byłam mała, mój ojciec wydawał mi się olbrzymi i silny. Żaden mąż nie będzie takim dla swojej żony. Ojciec bardzo mnie kochał i niczego nie domagał się w zamian. Mąż również potrafi kochać, ale jednocześnie chce czegoś od żony. Ojciec nigdy niczego ode mnie nie chciał. Usunął wszystkie moje kłopoty. Kiedy byłam przy ojcu, wydawało mi się, że jestem w najbezpieczniejszym miejscu na świecie. Chciałam mu coś podarować, ale nie miałam niczego więcej oprócz śpiewu. I dałam mu.

Po takim wyjaśnieniu Tony nigdy o tym nie rozmawiał z żoną. Myślał, jak przelamać to zahamowanie. Jednocześnie pragnienie by usłyszeć śpiew Aggie, rosło w nim coraz bardziej. Czuł, że otacza go jakaś pustka. Nawet w fabryce, stojąc przy maszynie, myślał o tym. Każda maszyna jest zabójcą. Jeżeli ma okazję — stara się ją wykorzystać. Pewnego razu maszyna chwyciła go i Tony przez dłuższy czas leżał w szpitalu nieprzytomny. Potem nie czuł niczego oprócz bólu. Kiedy otworzył oczy, zobaczył żonę siedzącą przy łóżku.

— Aggie, czy ja umieram?

— Co ty mówisz Kochanie — pochyliła się nad nim. Miała czerwone od płaczu oczy i wydawało mu się, że mówi do niego z bardzo daleka.

— Tony, kochanie, jeżeli chcesz, to ci zaśpiewam.

Nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się. Aggie zaczęła śpiewać. Była to fala, która unosiła go gdzieś wysoko, łagodna i silna, zdejmująca z niego kół. Była to najcudowniejsza rzecz na świecie i nawet niebo wydawało mu się niczym w porównaniu z tym śpiewem. Dobre piwo, ładna dziewczyna i wspaniały koń wycieczkowy — wszystko było w tym śpiewie, Tony był tak szczęśliwy i chciał umrzeć właśnie teraz. Ale nie umarł. Po kilku tygodniach wrócił do zdrowia i był szczęśliwy, że Aggie śpiewała dla niego i że zahamowanie zostało przelamane. Pragnął tego śpiewu bardziej niż kiedykolwiek. Ale Aggie nie chciała.

— Przecież śpiewałaś już dla mnie.

— To była wyjątkowa sytuacja.

— Myślałaś, że umieram.

— Tak, tylko dlatego.

— Wiem, że śpiewasz kiedy jesteś sama.

— Wtedy śpiewam mojemu ojcu.

— Czy rozmawiasz z nim?

— Oczywiście.

— Czy ci odpowiada?

— Tak.

— Co mówisz?

— To nie ważne.

— No dobrze, ale dlaczego śpiewałaś dla mnie?

— Ojciec mi kazał. Powiedział: — Biedaczek już niedługo skończy. Daj mu piosenkę. — Dlatego śpiewałam.

— Głupie żarty. Nigdy nie będą ciebie prosił, żebyś mi śpiewała. Czy ty naprawdę wierzysz w to, że ojciec z tobą rozmawia?

— Nie mówmy o tym.

— Nie zaśpiewasz dla mnie.

— Nawet jeżeli ojciec mi rozkaże.

— Twój idiotyczny śpiew wele mi nie jest do szczęścia potrzebny — powiedział Tony. Usiadł w fotelu i długo patrzył w okno, a tamten śpiew wciąż tkwił w jego pamięci. Unosił się potężną falą niosąc w sobie wszystko co piękne: dobre piwo, ładne, zgrabne dziewczyny, wspaniałe konie wycieczkowe. I to wszystko było mu odebrane na zawsze. Nagle uświadomił sobie, że to duch jej ojca odebrał mu to. Ten niepokojący głos nie porzucił go ani na chwilę.

Kilka dni potem Tony zabił swoją żonę.

— Zrobiłem to dlatego, bo nie chciała dla mnie śpiewać — powiedział policjantowi. — I jeszcze dlatego, bo ona chciała być ze swoim ojcem.

Policjant nie bardzo rozumiał, o czym mówi Tony.

Przekład: R. Gorzelski



**Michel ZUROY**  
**Dobra córka**

**Lewym okiem**



**ŁADNE  
HORYZONTY**

Podawała niedawno prasa, że konsumpcja alkoholu w pierwszym kwartale bieżącego roku spadła o jakiś

tam procent w przeliczeniu na głowę mieszkańca. Może więc jesteśmy o ów procent trzeźwiejsi, a może to jeden z ubocznych skutków wyżu demograficznego: skoro zwiększył się udział w społeczeństwie roczników młodszych, na ogół nie pijących, to my dorośli z trudem usiłujemy utrzymać spożycie na poziomie, zapewniającym dotychczasową statystyczną średnią.

Ale przecież czyni się coś niecoś, aby i młodszych w odnośnym kierunku zaktywizować. Małeńkie, powiadam, coś niecoś, o różnych jednak i ważnych aspektach. Wychodzi na przykład co miesiąc piśmienko „Horyzonty Techniki” z podtytu-

łem: „dla dzieci”. Zaraz po odcwroceniu okładki coś widzimy? Troje dzieci w towarzystwie rodziców przy zastawionym biesiadnym stole, dwie flachy i kielich na tle szeregu talerzy, papa już wstał — oczywiście też z kielichem w ręku — i pewnie intonuje piosenkę o rybkach, co śpią w jeziorze, a wszystko razem stanowi ilustrację do budującego, arcypozytywnego artykułku o produkcie Starów.

„Właśnie weszli do kawiarenki i zajęli w ogródku dwa stoliki” — czytamy w tekście. — „Pan Kazimierz przybrał uroczystą minę i podał do wiadomości...”

I podał do wiadomości

wszystko o Starach. W kawiarence. W ogródku. Przy dwóch stolikach. Nasuwa się więc wniosek: albo rybnik nie był nigdy w kawiarence i zna tylko stoliki z flachami, widelcami i w ogóle „szkłem”, to trochę niedobrze; albo był w kawiarence zamiast przeczytać artykuł, który miał zilustrować. To też niedobrze. Teraz czytelnik z przyjemnością patrzy na rozbawionego tatusia na obrazku i znacząco przytaka paluszkami w gardło.

Nie wiem wprawdzie kto jest tym czytelnikiem. „Dla dzieci” — napisano tuż pod tytułem. W środku reprodukuje się obrazki z jakiegoś rysunkowego konkursu,

których autorami były dzieci 7-10-letnie. To dla nich, dla ich rówieśników te „Horyzonty”? I ta uczona rozprawka w stylu — uia chybił trafił — takim: „Miarą stopnia zaciemnienia jest ciemność, która określa stosunek natężenia oświetlenia, pochodzącego bezpośrednio od opraw oświetleniowych, do całkowitego oświetlenia pochodzącego zarówno od opraw, jak i od światła odbitego od ścian i sufitu”? Kto to rozumie, oprócz autora? Kto zrozumie dlaczego w innym miejscu, inny autor radzi majsterkowiczom chcącym zbudować urządzenie do nauki strzelania, aby zastosowali do tego celu „dowolnego typu

stary, malokalibrowy lub normalny karabin wojskowy”, skoro posiadanie broni jest zabronione i karalne?

Swierszczyki i Płomyżki czytają dzieciom rodzice, trzeba się więc trochę liczyć z możliwością krytyki z ich strony. „Horyzonty Techniki” czytają sobie dziećci same. Można się nie obawiać — wszystko będzie przyjęte za dobrą monetę. I tylko wyjątkowo może komus przyjąć do głowy, że przez zwyczajną niefrasobliwość autorów zachwiany został stosunek natężenia oświetlenia na rzecz stopnia zaciemnienia cienistości.

**ĆWIEK**

Komitet redakcyjny: Halina Bekowa, Wacław Billiński (red. naczelny), Konrad Frejdlch, Wanda Karcewska, Tadeusz Papler, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzimierz Stokowski. Kolegium: członkowie komitetu redakcyjnego oraz Lech Budrecki, Zbigniew Faliński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska. — Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamawia rekonesansów nie zwraza — Prenumeratę przyjmuje wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z oznaczeniem: na „Ogłosy” Druk: RSW „Prasa” — Łódź Zwirki 17. Zam. 2241. VII. 61. F-4.